

**Eric- Emmanuel  
Schmitt**

**Dziecko Noego**

W okupowanej Belgii katolicki ksiądz ukrywa żydowskiego chłopca Josepha. Chłopcu udaje się przeżyć, odnajduje rodziców i po latach opowiada swoją historię.

Cała ta opowieść nie różniłaby się niczym od wielu innych, które znamy, gdyby nie to, że ojciec Pons ocala nie tylko życie Josepha, ale coś znacznie więcej.

Eric- Emmanuel Schmitt znowu nas zaskakuje, wzrusza i skłania do refleksji. Ta oparta na autentycznych wydarzeniach opowieść o inności, tolerancji i poszukiwaniu tożsamości ma wymiar uniwersalny. Łączy humor z powagą i udowadnia, że o dobru można mówić w sposób prosty, piękny, a zarazem pozbawiony sentymentalizmu.

Przekład Barbara Grzegorzewska  
WYDAWNICTWO ZNAK KRAKÓW  
2005

Dla mojego przyjaciela Pierre'a Perlemutera, którego historia po części zainspirowała tę opowieść.

Pamięci księdza Andre, wikarego parafii Świętego Jana Chrzciciela w Namur, i wszystkich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Kiedy miałem dziesięć lat, należałem do grupy dzieci, które co niedziela wystawiano na licytację.

Nie sprzedawano nas: kazano nam defilować po estradzie, żebyśmy znaleźli nabywcę. Wśród publiczności mogli znajdować się zarówno nasi prawdziwi rodzice, którzy wreszcie wrócili z wojny, jak pary pragnące nas adoptować.

Co niedziela wchodziłem na scenę w nadziei, że zostanę rozpoznany albo chociaż wybrany.

Co niedziela na dziedzińcu Żółtej Willi miałem dziesięć kroków na to, żeby się pokazać, dziesięć kroków, żeby zyskać rodzinę, dziesięć kroków, żeby przestać być sierotą. Pierwsze przychodziły mi łatwo, gdyż niecierpliwość pchała mnie na podium, słabłem jednak w połowie drogi, a łydki z trudem pokonywały ostatni metr. Na końcu, jak na skraju trampoliny, zionęła przede mną pustka. Cisza głębsza niż otchłań. Spośród rzędów głów, kapeluszy, czaszek i koków jakieś usta powinny się otworzyć, zawołać: „Mój syn!” albo: „To ten! Tego właśnie chcę! Adoptuję go!”.

Z podkurczonymi palcami stóp, wychylony ku temu wołaniu, które wyrwie mnie z sieroctwa, sprawdzałem, czy dobrze wyglądam.

Zrywałem się o świcie i gnałem z sypialni do zimnej łazienki, gdzie tarłem sobie skórę zielonym mydłem, twardym jak kamień, trudnym do zmiękczenia i dającym mało piany. Czesalem się ze dwadzieścia razy, chcąc mieć pewność, że włosy mnie usłuchają. Ponieważ mój granatowy odświętny garnitur zrobił się za ciasny w ramionach i miał za krótkie rękawy i nogawki, kuliłem się wewnątrz szorstkiego materiału, by nie dać poznać, że urosłem.

Podczas oczekiwania człowiek nie wie, czy przeżywa radość, czy cierpienie; przygotowuje się do skoku, ale nie ma pojęcia, jak zostanie przyjęty. Może umrze? Może zyska oklaski?

Niewątpliwie moje buty sprawiały złe wrażenie.

Dwa kawałki przeżutej tektury. Więcej dziur niż tworzywa. Czeluście powiązane rafią. Przewiewny model, otwarty na zimno, na wiatr, a nawet na moje paluchy. Dwa łapcie, które przestały przepuszczać deszcz, dopiero kiedy obrosły kilkoma warstwami błota. Nie mogłem ich oczyścić, bo to groziło ich unicestwieniem. Jediną przesłanką, dzięki której mogły uchodzić za buty, był fakt, że nosiłem je na nogach. Gdybym trzymał je w ręku, jestem pewien, że grzecznie wskazano by mi śmietnik. Może trzeba było iść w chodakach? Chociaż goście Żółtej Willi nie mogli widzieć tego z dołu!

A nawet gdyby! Przecież nie odrzucą mnie z powodu butów! Czyż rudzielec Leonard nie odzyskał rodziców, mimo że paradował boso?

- Wracaj już do refektarza, Joseph.

Co niedziela moje nadzieje umierały na dźwięk tego zdania. Ojciec Pons dawał do zrozumienia, że to znów jeszcze nie tym razem i że powinienem zejść ze sceny.

Zwrot w tył. Dziesięć kroków, żeby zniknąć.

Dziesięć kroków, żeby znów pograć się w bólu. Dziesięć kroków, żeby znów stać się sierotą.

Po estradzie dreptało już inne dziecko. Żebra miażdżyły mi serce.

- Myśli ojciec, że mi się uda?

- Co chłopcze?

- Znaleźć rodziców.

- Rodziców! Mam nadzieję, że twoim prawdziwym rodzicom udało się uniknąć niebezpieczeństwa i że wkrótce się pojawią.

Od tego bezskutecznego wystawiania się na pokaz w końcu zacząłem się czuć winny. Chociaż to oni zwlekali z przyjściem. Z powrotem. Ale czy to zależało od nich? Czy w ogóle jeszcze żyją?

Miałem dziesięć lat. Trzy lata wcześniej rodzice oddali mnie pod opiekę obcym ludziom.

Kilka tygodni temu wojna się skończyła. Razem z nią skończył się czas nadziei i złudzeń. My, ukrywane dzieci, musieliśmy wrócić do rzeczywistości i dowiedzieć się, jakby nagle raził nas piorun, czy wciąż należymy do jakiejś rodziny, czy też jesteśmy sami na świecie...

Wszystko zaczęło się w tramwaju.

Razem z mamą jechałem przez Brukselę w żółtym wagonie plującym iskrami i ryczącym blachą.

Myślałem, że to te iskry z dachu nadają nam szybkość. Siedząc na kolanach matki, spowity w jej słodki zapach, wtulony w kołnierz z lisa, pędziłem przez szare miasto; miałem dopiero siedem lat, ale byłem panem stworzenia: z drogi, śledzie, bo król jedzie! Samochody rozstępowały się, konne zaprzęgi wpadały w popłoch, piesi uciekali, a maszynista wioził nas z matką niczym cesarską parę w karocy.

Nie pytajcie mnie, jak wyglądała moja matka: czy można opisać słońce? Z mamy promieniowało ciepło, siła, radość. Bardziej pamiętam te odczucia niż rysy jej twarzy. Przy niej śmiałem się i nic złego nie mogło mi się przytrafić.

Toteż kiedy wkroczyli niemieccy żołnierze, zbyt się tym nie przejąłem. Zadowolilem się odgrywaniem roli niemowy i, tak jak ustaliliśmy z rodzicami, którzy bali się, że zdradzi mnie

jidysz, na widok zbliżających się szarzielonych mundurów lub czarnych skórzanych płaszczy nabierałem wody w usta. Był rok 1942 i mieliśmy nosić żółte gwiazdy, ale mój ojciec jako zręczny krawiec znalazł sposób, by uszyć nam płaszcze pozwalające zasłonić gwiazdę i odsłaniać ją, kiedy zachodziła potrzeba. Matka nazywała to naszymi „spadającymi gwiazdami”.

Podczas gdy wojskowi rozmawiali, nie zwracając na nas uwagi, poczułem, że matka sztywnieje i zaczyna się trząść. Czy to był instynkt? Czy usłyszała coś niepokojącego?

Wstała, przyłożyła mi rękę do ust i na najbliższym przystanku energicznie popchnęła mnie do wyjścia. Gdy znaleźliśmy się na chodniku, spytałem:

- Przecież mieszkamy dalej! Czemu wysiedliśmy już tutaj?
- Przejdziemy się, Joseph. Dobrze?

Ja zawsze zgadzałem się na to, czego chciała mama, mimo że z trudem za nią nadążałem na moich siedmioletnich nogach, gdy nagle przyspieszała kroku.

Po drodze zaproponowała:

- Odwiedzimy pewną wielką damę, dobrze?
- Tak. Kogo?
- Hrabinę de Sully.
- Ile ma wzrostu?
- Słucham?
- Powiedziałaś, że to wielka dama...
- To znaczy, że jest szlchetnego rodu.
- Szlchetnego rodu?

Wyjaśniając mi, że osoba szlchetnego rodu to osoba wysoko urodzona, pochodząca z bardzo starej rodziny i że z tego powodu trzeba okazywać jej dużo szacunku, wprowadziła mnie do przedpokoju pięknego pałacyku, gdzie przywitali nas służący.

Rozczarowałem się trochę, bo kobieta, która do nas zeszła, nie pasowała do tego, co sobie wyobraziłem: hrabina de Sully, mimo że pochodziła ze „starej” rodziny, wyglądała bardzo młodo i chociaż była „wielką” damą „wysoko” urodzoną, nie była wyższa ode mnie.

Rozmawiały szybko ścisłym głosem, potem matka pocałowała mnie, prosząc, żebym czekał, aż wróci.

Mała, młoda i rozczarowująca hrabina zaprowadziła mnie do salonu, gdzie poczęstowała ciastkami, herbatą i grała mi różne melodie na fortepianie. Wobec wysokości sufitów, obfitości podwieczorku i piękna muzyki, zrewidowałem swoje zdanie i zagłębiając się w wyściełanym fotelu, zgodziłem się z tym, że jest „wielką damą”.

Przestała grać, westchnęła, spojrzała na zegar i podeszła do mnie z czołem przeciętym troską.

- Joseph, nie wiem, czy zrozumiesz to, co ci powiem, ale nasza krew zabrania nam ukrywania prawdy przed dziećmi.

Jeżeli taki był zwyczaj wśród szlachty, czemu mi go narzucała? Myślała, że też jestem szlachcicem? Byłem nim? Ja, szlachcicem? Może... Dlaczego nie? Jeżeli tak jak ona nie trzeba być dużym ani starym, miałem szansę.

- Joseph, twoi rodzice i ty jesteście w wielkim niebezpieczeństwie. Twoja matka słyszała, że w waszej dzielnicy będą aresztowania. Poszła zawiadomić twojego ojca i możliwie jak najwięcej ludzi. Powierzyła mi ciebie, żeby cię chronić. Mam nadzieję, że wróci. Tak. Naprawdę mam nadzieję, że wróci.

No tak, dobrze, że nie codziennie zostawałem szlachcicem: prawda była raczej bolesna.

- Mama zawsze wraca. Dlaczego miałyby nie wrócić?

- Może zostać zatrzymana przez policję.

- Co zrobiła?

- Nic nie zrobiła. Jest...

Z piersi hrabiny wyrwało się ciężkie westchnienie, od którego zadzwięczały paciorki naszyjnika. Jej oczy zwilgotniały.

- Czym jest?

- Jest Żydówką.

- No tak. Wszyscy w rodzinie jesteśmy Żydami. Ja też.

Ponieważ miałem rację, pocałowała mnie w oba policzki.

- A ty też jesteś Żydówką, madame?

- Nie. Jestem Belgijką.

- Jak ja.

- Tak, jak ty. I chrześcijanką.

- Chrześcijanka to przeciwieństwo Żyda?

- Przeciwieństwo Żyda to nazista.

- Nie aresztuje się chrześcijanek?

- Nie.

- Więc lepiej być chrześcijanką?

- To zależy wobec kogo. Chodź, Joseph, zanim mama wróci, pokażę ci dom.

- Ach! Widzisz, że wróci!

Hrabina de Sully wzięła mnie za rękę i po schodach, które wlatywały na piętra, poszła ze mną podziwiać wazon, obrazy, zbroje. W jej sypialni odkryłem całą ścianę wiszących na ramiączkach sukienek. U nas w domu, w Schaerbeck, też żyliśmy wśród strojów, nici i materiałów.

- Jesteś krawcową, jak tata?

Roześmiała się.

- Nie. Kupuję toalety uszyte przez krawców, takich jak twój tata. Muszą przecież dla kogoś pracować, prawda?

Kiwnąłem głową, ale nie powiedziałem hrabinie, że na pewno nie kupiła swoich ubrań u nas, bo u taty nigdy nie widziałem rzeczy tak pięknych jak te haftowane aksamity, świetliste jedwabie, koronki przy nadgarstkach, błyszczące niczym klejnoty guziki.

Nadszedł hrabia i kiedy hrabina opisała mu sytuację, spojrzął na mnie.

On znacznie bardziej pasował do portretu szlachcica. Wysoki, szczupły, stary - w każdym razie wąsy nadawały mu szacowny wygląd - zmierzył mnie wzrokiem z tak wysoka, że zrozumiałem, dlaczego podniesiono sufity.

- Chodź, dziecko, zjesz z nami kolację.

Głos był głosem szlachcica, nie miałem wątpliwości! Głos solidny, gruby, poważny, barwy posągów z brązu, na które padało światło świec.

Podczas posiłku grzecznie wywiązywałem się z obowiązku rozmowy, chociaż wciąż nurtowała mnie kwestia pochodzenia: jestem szlachcicem czy nie? Skoro państwo de Sully gotowi są mi pomóc i wziąć mnie do siebie, to mogło oznaczać, że wywodzę się z tego samego rodu co oni.

A więc szlachcic?

Kiedy przechodziliśmy do salonu, żeby napić się naparu z kwiatów pomarańczy, mogłem głośno zadać pytanie, lecz powstrzymałem się w obawie, że odpowiedź będzie negatywna: chciałem pożyć jeszcze trochę w tej miłej sercu niepewności...

Chyba zasnąłem, bo obudził mnie dźwięk dzwonka. Kiedy z fotela, na którym leżałem odrętwiały, ujrzałem ojca i matkę wchodzących do przedpokoju, po raz pierwszy zrozumiałem, że są inni. Zgarbieni, w ciemnych ubraniach, z tekturowymi walizkami w rękę, mówili bardzo niepewnie, lękliwie, jakby bali się zarówno nocy, z której przychodzili, jak wspaniałych gospodarzy, do których się zwracali. Zacząłem się zastanawiać, czy moi rodzice nie są biedni.

- Łapanka! Wszystkich aresztują. Kobiety i dzieci też. Rodzina Rosenbergów. Rodzina Meyerów. Laegerowie. Perelmuterowie. Wszyscy...



Ojciec płakał. Krępowano mnie, że on, który nigdy nie płacze, przychodzi płakać do ludzi takich jak państwo de Sully. Co miała oznaczać ta poufałość? Że jesteśmy szlachtą? Nie ruszając się z berżerki i udając, że śpię, obserwowałem wszystko i słuchałem.

- Wyjechać... Ale gdzie? Żeby dostać się do Hiszpanii, trzeba przejechać Francję, która jest tak samo niebezpieczna. A bez fałszywych papierów...

- Widzisz, Miszke - mówiła mama - mogliśmy jechać z ciocią Ritą do Brazylii.

- Z moim chorym ojcem, nigdy!

- Teraz nie żyje, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

- Tak, już za późno.

Hrabia de Sully wprowadził trochę porządku do rozmowy.

- Zajmę się państwem.

- Nie, panie hrabio, nasz los nie ma znaczenia. Trzeba ratować Josepha. Przede wszystkim jego. I tylko jego, jeśli tak będzie trzeba.

- Tak - powiedziała matka - trzeba chronić przede wszystkim Josepha.

Tyle względów potwierdzało moją intuicję, że jestem szlachcicem. W każdym razie byłem nim w oczach moich bliskich.

Hrabia znowu ich uspokoił.

- Oczywiście, zajmę się Josephem. Zajmę się także państwem. Musicie jednak zgodzić się na chwilowe rozstanie z nim.

- Josephelu, synku...

Matka padła w ramiona hrabiny, która lekko klepała ją po plecach. W odróżnieniu od łez ojca, które wprawiły mnie w zakłopotanie, jej łzy rozdzierały mi serce.

Skoro byłem szlachcicem, nie mogłem dłużej udawać, że śpię! Rycersko zerwałem się z fotela, żeby pocieszyć mamę. Nie wiem jednak, co mi się stało, kiedy się przy niej znalazłem, dość że wyszło na odwrót: uczepliłem się jej nóg i rozplakałem jeszcze głośniejsze niż ona. Jednego wieczoru państwo de Sully widzieli, jak płacze całe plemię.

I jak tu potem przekonać kogoś, że też jesteśmy szlachtą.

Żeby to przerwać, ojciec otworzył walizki.

- Proszę, panie hrabio. Ponieważ nigdy nie będę mógł panu zapłacić, daję panu wszystko, co posiadam. Oto moje ostatnie garnitury.

I zaczął wyciągać umieszczone na wieszakach marynarki, spodnie i kamizelki, które uszył. Gładził je wierzchem ręki, tym samym gestem co w sklepie, szybką pieśczołą, która zachwalała towar, podkreślając sprężystość i miękkość materiału.

Cieszyłem się, że ojciec nie był ze mną w pokoju hrabiny i że został mu oszczędzony widok jej pięknych strojów, bo chyba umarłby ze wstydu, że ośmiela się pokazywać towary tak pospolite osobom tak wyrafinowanym.

- Nie chcę być w żaden sposób opłacany, przyjacielu - powiedział hrabia.

- Nalegam...

- Proszę mnie nie upokarzać. Nie działałem z chęci zysku. Niech pan zatrzyma swoje cenne skarby, mogą się państwu przydać.

Hrabia nazwał „skarbami” garnitury ojca!

Czegoś nie mogłem zrozumieć. Może się pomyliłem?

Zaprowadzono nas na ostatnie piętro rezydencji i umieszczono w mansardowym pokoju.

Zachwyciło mnie pole gwiazd widoczne przez wycięte w dachu okno. Wcześniej nie miałem okazji przyglądać się niebu, gdyż z naszego mieszkania w suterenie widziałem tylko buty, psy i torby. To bezkresne sklepienie, ten głęboki aksamit usiany gwiazdami, zdawały się naturalnym zwieńczeniem szlacheckiej posiadłości, gdzie piękno biło w oczy na każdym piętrze. Tak więc państwo de Sully nie mieli nad sobą sześciu wielodzietnych rodzin, jak my, lecz niebo i gwiazdy, które nie są uciążliwe. Przyjemnie jest być szlachcicem.

- Widzisz, Joseph - powiedziała mama - ta gwiazda, o tam, to nasza gwiazda. Twoja i moja.

- Jak się nazywa?

- Ludzie nazywają ją gwiazdą pasterza; my nazwiemy ją „gwiazdą Josepha i mamusi”.

Matka lubiła nadawać gwiazdom nowe imiona.

Zakryła mi oczy dłońmi, kilkakrotnie obróciła mnie wokół i wskazała na niebo.

- Która to? Potrafisz ją odnaleźć?

W bezkresie nauczyłem się rozpoznawać bez pudła „gwiazdę Josepha i mamusi”.

Tuląc mnie do piersi, matka nuciła kołysankę w jidysz. Gdy tylko kończyła śpiewać, kazała mi pokazywać naszą gwiazdę. Potem zaczynała od nowa. Przewycięzałem senność, pochłonięty przeżywaniem tej chwili.

W głębi pokoju, pochylony nad walizkami, ojciec w kółko układał garnitury, złorzeczając.

Między dwiema zwrotkami mruczonymi przez matkę, zdobyłem się na pytanie:

- Tato, nauczysz mnie szyc?

Zakłopotany, zwlekał z odpowiedzią.

- Tak - nalegałem. - Chciałbym też robić skarby. Jak ty.

Podszedł do mnie i on, który zwykle był taki szorstki i oschły, przytulił mnie do siebie i pocałował.

- Nauczę cię wszystkiego, co umiem, Joseph.

I nawet tego, czego nie umiem.

Zazwyczaj jego czarna, broda, twarda i kłująca, musiała sprawiać mu ból, bo często pocierał sobie policzki i nikomu nie pozwalał jej tknąć. Tego wieczoru chyba zbyt mu nie dokuczwała, bo pozwolił mi jej z zaciekawieniem dotykać.

- Miękka, prawda? - szepnęła matka, czerwieniąc się, jakby zwierzała mi jakąś tajemnicę.

- Nie gadaj głupstw - burknął tata.

Pomimo że w pokoju były dwa łóżka, duże i małe, mama uparła się, żebym położył się z nimi w dużym. Ojciec nie sprzeciwiał się długo.

Naprawdę bardzo się zmienił, odkąd byliśmy szlachtą.

I tak, wpatrzony w gwiazdy, które śpiewały w jidysz, po raz ostatni zasnąłem w ramionach matki.

Właściwie się nie pożegnaliśmy. Może sprawił to zagmatwany splot okoliczności? Może z ich strony było to zamierzone? Na pewno nie chcieli przeżywać tej sceny ani tym bardziej mnie na nią narażać... Nić urwała się, zanim zdałem sobie z tego sprawę: wyszli gdzieś nazajutrz po południu i więcej nie wrócili.

Za każdym razem, kiedy pytałem hrabiego i malutkiej hrabiny, gdzie są rodzice, niezmiennie padała odpowiedź: „Są bezpieczni”.

Zadawałem się nią, gdyż pochłonięty byłem odkrywaniem mojego nowego życia: życia szlachcica.

Kiedy nie zwiedzałem samotnie różnych zakamarków tego domostwa, kiedy nie przyglądałem się tańcowi służących pucujących srebra, trzepiących dywany czy poprawiających poduszki, przesiadywałem godzinami w salonie z hrabiną, która doskonaliła mój francuski i zabraniała używać jakichkolwiek wyrażen w jidysz. Zachowywałem się posłusznie, tym bardziej że raczyła mnie ciastkami i walcami granymi na fortepianie. A co najważniejsze, byłem przekonany, że ostateczne nabycie statusu szlachcica wymaga znajomości tego języka, niewątpliwie trochę drętowego, trudnego do wymówienia, nie tak zabawnego i barwnego jak mój, ale delikatnego, stonowanego, wytwornego.

Przy gościach miałem mówić do hrabiego „wuju”, a do hrabiny „ciociu”, gdyż przedstawiali mnie jako jednego ze swoich holenderskich siostrzeńców.

Zaczynałem już wierzyć, że to prawda, kiedy pewnego rana policja otoczyła dom.

- Policja! Otwierać! Policja!

Jacyś ludzie dobijali się do głównych drzwi, dzwonek im nie wystarczał.

- Policja! Otwierać! Policja!

W jedwabnym dezabilu hrabina wpadła do mojego pokoju, chwyciła mnie w ramiona i zanosła do swojego łóżka.

- Niczego się nie bój, Joseph, odpowiadaj po francusku, to samo co ja.

W czasie gdy policjanci wchodzili po schodach, zaczęła czytać jakąś bajkę: leżeliśmy oparci o poduszki, jak gdyby nigdy nic.

Kiedy weszli do pokoju, rzucili nam wściekłe spojrzenie.

- Ukrywa pani żydowską rodzinę!

- Przeszukajcie wszystko, co chcecie - powiedziała hrabina, traktując ich z góry - osłuchajcie mury, porozbijajcie kufry, podnieście łóżka: i tak nic nie znajdziecie. Za to ręczę, że jutro o mnie usłyszycie.

- Mieliśmy donos, madame.

Hrabina, niezmiernie obruszyła się, że wierzą byle komu, uprzedziła, że sprawa na tym się nie skończy, lecz dojdzie do samego pałacu, bo ona jest w bliskich stosunkach z królową Elżbietą, po czym oznajmiła funkcjonariuszom, że ten wybryk będzie ich kosztował karierę - co do tego mogą jej w pełni zaufać!

- A teraz szukajcie! Szukajcie, szybko!

Wobec takiej pewności i oburzenia szef policjantów o mało się nie cofnął.

- Mogę spytać, madame, kim jest to dziecko?

- To mój siostrzeniec. Syn generała von Grebelsa. Mam pokazać panu drzewo genealogiczne? Pan szuka śmierci, mój chłopcze!

Po bezowocnym przeszukaniu policjanci wynieśli się, bąkając przeprosiny, zmieszani, zawstydzeni.

Hrabina wyskoczyła z łóżka. U kresu wytrzymałości nerwowej śmiała się i płakała jednocześnie.

- Odkryłeś jedną z moich tajemnic, Joseph, jedną z moich kobiecych sztuczek.

- Jaką?

- Oskarżać zamiast się tłumaczyć. Atakować kiedy jest się podejrzanym. Kłamać raczej, niż się bronić.

- To zarezerwowane dla kobiet?

- Nie. Ty też możesz tak robić.

Następnego dnia państwo de Sully oznajmili, że nie mogą dłużej u nich mieszkać, bo ich kłamstwo łatwo da się wykryć.

- Niedługo przyjdzie ojciec Pons, on się tobą zajmie. Nie mógłbyś trafić w lepsze ręce. Powinieneś mówić do niego „ojcze”.

- Dobrze, wuju.

- Będziesz do niego mówił „ojcze” nie po to, żeby myślano, że jest twoim ojcem, jak teras, kiedy mówisz do mnie „wuju”. Do ojca Ponsa Wszyscy mówią „ojcze”.

- Nawet państwo?

- Nawet my. Jest księdzem. Kiedy się do niego zwracamy, mówimy „ojcze”. Policjanci też. Niemieccy żołnierze też. Wszyscy. Nawet ci, co nie wierzą.

- Ci, co nie wierzą, że jest ich ojcem?

- Nawet ci, co nie wierzą w Boga.

Byłem bardzo przejęty, że spotkam kogoś, kto jest ojcem całego świata albo za takiego uchodzi.

- Czy ojciec Pons - zapytałem - ma coś Wspólnego z pumeksem<sup>1</sup>?

Myślałem o tym lekkim i delikatnym kamieniu, który od kilku dni hrabina przynosiła mi do kąpielni, żebym szorował nim stopy, usuwając martwą zrogowaciałą skórę. Był w kształcie myszy i fascynował mnie tym, że pływa czego raczej nie spodziewamy się po kamieniu - i że zmoczony zmienia kolor: z szarobiałego na prawie czarny. Państwo de Sully wybuchnęli śmiechem.

- Nie rozumiem, co was tak śmieszy - powiedziałem obrażony. - Mógł przecież odkryć... albo wynaleźć... pumeks. W końcu ktoś musiał na to wpaść!

Przestali się śmiać i pokiwali głową.

- Masz rację, Joseph: to mógłby być on. Jednak nie ma nic wspólnego z pumeksem.

Nie szkodzi. Kiedy zadzwonił, a potem wszedł do pałacyku państwa de Sully, od razu zgadłem, że to on.

Długi i cienki, sprawiał wrażenie, że składa się z dwóch niepowiązanych ze sobą części: głowy i reszty. Jego ciało zdawało się niematerialne i pozbawione wypukłości, czarna suknia wisiała na nim jak na wieszaku, a spod niej wystawały błyszczące trzewiki wyglądające tak, jakby nie tkwiła w nich żadna noga. Za to głowa sterczała w górze, różowa, mięsista, żywa, niewinna niczym u świeżo wykąpanego niemowlęcia. Aż chęć brała ucałować ją, objąć rękoma.

- Dzień dobry, ojcze - powiedział hrabia. - Oto Joseph.

---

<sup>1</sup> Po francusku pierreponce; nieprzetłumaczalna gra słów: ponce wymawia się tak samo jak nazwisko Pons (przyp. tłum.).

Patrzyłem na niego, starając się zrozumieć, dlaczego jego twarz nie tylko mnie nie zaskakuje, ale wręcz zdaje się potwierdzeniem. Potwierdzeniem czego? Jego czarne oczy obserwowały mnie życzliwie spoza lekkich okrągłych okularów.

Nagle doznałem olśnienia.

- Pan nie ma włosów! - zawołałem.

Uśmiechnął się i w tej samej chwili go polubiłem.

- Powypadały. A resztki, które rosną, gołę.

- Dlaczego?

- Żeby nie tracić czasu na czesanie.

Parsknąłem śmiechem. Więc sam nie wiedział, dlaczego jest łyсы? Niesamowite... Państwo de Sully patrzyli na mnie pytająco. I oni też nie?

Mam im powiedzieć? Przecież to było oczywiste: ojciec Pons miał czaszkę gładką jak kamień, żeby pasować do swojego nazwiska: Pierre Ponce!

Pumeks!

Widząc ich zdumienie, domyśliłem się jednak, że lepiej nic nie mówić. Choćbym miał wyjść na idiotę...

- Umiesz jeździć na rowerze, Joseph?

- Nie.

Nie śmiałem zdradzić powodu tej ułomności: od początku wojny rodzice przezornie zabraniali mi bawić się na ulicy. W grach ruchowych byłem więc mocno w tyle za rówieśnikami.

- No to cię nauczę - zdecydował ojciec. Usiądź za mną. Trzymaj się.

Na dziedzińcu domostwa, starając się przysporzyć dumy państwu de Sully, zdołałem po kilku próbach utrzymać się na bagażniku.

- Spróbujmy teraz na ulicy.

Kiedy mi się udało, podeszli do nas hrabia z hrabiną. Szybko mnie pocałowali.

- Do zobaczenia, Joseph. Wkrótce cię odwiedzimy. Proszę uważać na Grubego Jacques'a, ojczy.

Ledwie dotarło do mnie, że to pożegnanie, a już razem z ojcem jechaliśmy ulicami Brukseli.

Ponieważ cała moja uwaga koncentrowała się na utrzymywaniu równowagi, nie mogłem oddać się zmartwieniu.

W drobnym deszczu, od którego asfalt zmieniał się w oleiste lustro, mknęliśmy, drżący, chybotając się na kilku centymetrach dętki.

- Jeśli spotkamy Grubego Jacques'a, pochyl się ku mnie i rozmawiajmy, jakbyśmy znali się od zawsze.

- Kto to jest Gruby Jacques, ojczy?

- To żydowski zdrajca jeżdżący samochodem Gestapo. Wskazuje nazistom rozpoznawanych przez siebie Żydów, żeby ich zatrzymali.

Właśnie zauważyłem jadący za nami powoli czarny pojazd. Rzuciłem okiem do tyłu i przez szybę, wśród mężczyzn w ciemnych płaszczach dostrzegłem bladą, spoconą twarz bacznie śledzącą okrągłymi oczkami chodniki alei Louise.

- Gruby Jacques, ojczy!

- Szybko, Joseph, opowiedz mi coś. Na pewno znasz jakieś śmieszne historie.

Niewiele myśląc, zacząłem upłynniać cały swój zapas kawałów. Nie przypuszczałem, że aż tak rozbawią ojca Ponsa, który śmiał się na całe gardło. Zachęcony powodzeniem, też zacząłem chichotać i kiedy samochód się z nami zrównał, byłem zbyt upojony sukcesem, żeby zwracać na niego uwagę.

Gruby Jacques popatrzył na nas niechętnie, ocierając sflaczałe policzki białą złożoną chusteczką, po czym zdegustowany naszą radością życia, dał znak szoferowi, żeby przyspieszył.

Niedługo potem ojciec Pons skręcił w boczną ulicę i samochód zniknął nam z oczu. Chciałem kontynuować swoją karierę komika, ale ojciec Pons zawołał:

- Błagam, Joseph, przestań już. Tak mnie rozśmieszasz, że nie daję rady pedałowac.

- Szkoda. Nie pozna ojciec historii o trzech rabinach, którzy próbowali swych sił na motorze.

Ściemniało się, a my wciąż jeszcze jechaliśmy. Miasto było już daleko za nami i teraz przemierzaliśmy pola, gdzie drzewa stawały się czarne.

Ojciec Pons nie dostał zadyszki, ale niewiele się odzywał, rzucał tylko krótkie pytania: „W porządku?”, „Trzymasz się?”, „Nie jesteś zmęczony, Joseph?”. Mimo to w miarę, jak posuwaliśmy się do przodu, odnosiłem wrażenie, że stajemy się sobie coraz bliżsi, pewnie dlatego, że moje ręce obejmowały go w talii, głowa spoczywała na jego plecach i czułem, jak przez gruby materiał powoli udziela mi się ciepło tego wątłego ciała. Kiedy wreszcie ukazała się tablica z nazwą Chemlay, wioski ojca Ponsa, zahamował. Rower zadrżał, a ja wpadłem do rowu.

- Brawo, Joseph, świetnie pedałowales! Trzydzieści pięć kilometrów! Jak na początek to znakomicie!

Wstałem, nie ośmielając się wyprowadzić ojca Ponsa z błędu. Bo ku mojemu wielkiemu wstydu, wcale nie pedałowalem w czasie podróży, nogi mi zwisały. Czy były tam jakieś pedały, których nawet nie zauważyłem?

Odstawił rower, zanim zdążyłem to sprawdzić, i wziął mnie za rękę. Poszliśmy przez pola do pierwszego domu na skraju Chemlay, budowli krótkiej i przysadzistej. Tam dał mi znak, żebym był cicho, ominął główne wejście i zapukał do drzwi od piwnicy.

Ukazała się jakaś postać.

- Wchodźcie szybko.

Mademoiselle Marcelle, aptekarka, spiesznie zamknęła drzwi i sprowadziła nas po schodach do piwnicy oświetlonej skąpym płomykiem oliwnej lampy.

Mademoiselle Marcelle była postrachem dzieci i kiedy schyliła się nade mną, osiągnęła swój zwykły efekt: o mało nie krzyknąłem z obrzydzenia. Czy sprawił to półmrok? Czy światło padające z dołu? Mademoiselle Marcelle przypominała wszystko, tylko nie kobietę; wyglądała jak kartofel na ptasim ciele. Jej twarz o grubych, źle ukształtowanych rysach, pomarszczonych powiekach, ciemnej skórze, nieregularna, szara i szorstka, podobna była do właśnie wykopanej przez wieśniaka bulwy: uderzenie motyką zaznaczyło wąskie usta, a dwa małe wyrostki - oczy, kilka rzadkich włosów, siwych u nasady, rudawych na końcach zdawało się zapowiadać ewentualny odrost na wiosnę. Stojąc na cienkich nóżkach, z ciałem podanym do przodu, z brzuchem obejmującym cały tułów niczym u pękatego rudzika, wypukła od szyi po pachwiny, z rękami na biodrach, z łokciami w tyle w pozycji jak do wzlotu, wpatrywała się we mnie jak w pokarm, który za chwilę dziobnie.

- Żyd, oczywiście? - spytała.

- Tak - odpowiedział ojciec Pons.

- Joseph.

- To dobrze. Nie trzeba zmieniać imienia: jest równie żydowskie jak chrześcijańskie. A twoi rodzice?

- Mama: Lea. Tata: Michael.

- Pytam o ich nazwisko.

- Bernstein.

- Fatalne! Bernstein... Niech będzie Bertin. Wystawię ci papiery na nazwisko Joseph Bertin. Chodź tutaj, zrobię ci zdjęcie.

W kącie pokoju, przed malowaną dekoracją przedstawiającą niebo nad lasem, czekał na mnie taboret.



Ojciec Pons uczesał mnie, poprawił mi ubranie i poprosił, żebym patrzył na aparat, dużą drewnianą skrzynię z mieszkami stojącą na rusztowaniu wysokim niemal jak człowiek.

W tej samej chwili przez pokój przeleciał błysk tak silny i tak niespodziewany, że miałem wrażenie, jakbym śnił.

Kiedy przecierałem sobie oczy, Mademoiselle Marcelle wsunęła do harmonijki drugą płytkę i świetlne zjawisko się powtórzyło.

- Jeszcze! - domagałem się.

- Nie, dwa wystarczą. Wywołam je dzisiaj w nocy. Nie masz wszy, mam nadzieję? Zresztą nasmarujesz się tym płynem. Świerzbu też nie masz? I tak wyszoruję cię szczotką i siarką. Co jeszcze? Panie Pons, kilka dni i go panu oddaję. Odpowiada to panu?

- Odpowiada.

Mnie wcale nie odpowiadało: myśl, że zostanę z nią sam, przejmowała mnie grozą. Nie śmiałem tego powiedzieć, więc zamiast tego spytałem:

- Dlaczego mówisz pan? Powinno się mówić „ojcze”.

- Mówię, jak mi się podoba. Pan Pons doskonale wie, że nienawidzę księży, że zwalczam ich od urodzenia, że widok hostii przyprawia mnie o mdłości. Jestem aptekarką, pierwszą kobietą aptekarką w Belgii! Pierwszą dyplomowaną!

Skończyłam studia i swoje wiem. Tak że niech sobie inni mówią do niego „ojcze”! Zresztą pan Pons nie ma do mnie o to żalu.

- Nie - powiedział ksiądz. - Wiem, że jest pani dobrym człowiekiem.

Zaczęła coś burczeć, jakby słowo „dobry” za bardzo trąciło zakrystią.

- Nie jestem dobra, jestem sprawiedliwa. Nie lubię księży, nie lubię Żydów, nie lubię Niemców, ale nie znoszę, żeby dobierano się do dzieci.

- Wiem, że pani lubi dzieci.

- - Nie, dzieci też nie lubię. Ale to jednak są istoty ludzkie.

- Więc lubi pani ludzkość!

- Ach, panie Pons, niech pan przestanie wmawiać mi, że kogoś lubię! To takie księżowskie gadanie. Nie lubię niczego ani nikogo. Mój zawód to aptekarstwo: mam pomagać ludziom utrzymać się przy życiu. Wykonuję swój zawód, to wszystko. No już, niech się pan wynosi. Oddam panu chłopaka w dobrym stanie, zadbanego, czystego, z papierami, które zapewnią mu spokój, psiakrew!

Odwróciła się tyłem, żeby uniknąć dyskusji.

Ojciec Pons pochylił się ku mnie i szepnął z uśmiechem:

- „Psiakrew” to jej przezwisko w wiosce. Klnie gorzej niż jej ojciec, który był pułkownikiem.

Psiakrew przyniosła mi jedzenie, posłała łóżko i głosem nieznoszącym sprzeciwu rozkazała, żebym dobrze wypoczął. Zасыpiając tego wieczoru, nie mogłem się powstrzymać, by nie odczuwać pewnego podziwu dla kobiety, która z taką naturalnością mówiła „psiakrew”.

Spędziłem kilka dni u onieśmiałej Mademoiselle Marcelle. Na moich oczach, co wieczór, po dniu spędzonym w sklepie nad piwnicą, pracowała bezwstydnie nad stworzeniem dla mnie fałszywych papierów.

- Nie pogniwasz się, jeśli dam ci sześć lat zamiast siedmiu?

- Niedługo będę miał osiem - zaprotestowałem.

- A więc masz sześć lat. Tak jest bezpieczniej.

Nie wiadomo, jak długo potrwa ta wojna. Im później będziesz dorosły, tym lepiej dla ciebie.

Kiedy Mademoiselle Marcelle zadawała pytanie, zbyteczne było odpowiadać, gdyż zadawała je sobie i od siebie oczekiwała odpowiedzi.

- Powiesz, że twoi rodzice nie żyją. Zmarli śmiercią naturalną. Pomyślmy, jaka choroba mogła ich zabrać?

- Ból brzucha?

- Grypa! Śmiertelna odmiana grypy. Opowiedz mi swoją historię.

Kiedy chodziło o powtórzenie tego, co wymyśliła, Mademoiselle Marcelle nagle słuchała innych.

- Nazywam się Joseph Bertin, mam sześć lat, urodziłem się w Antwerpii, a moi rodzice umarli zeszłej zimy na grypę.

- Dobrze. Masz tutaj miętową pastylkę.

Miała odruchy tresera: kiedy spełniałem jej polecenie, rzucała mi cukierka, który musiałem chwycić w locie.

Ojciec Pons codziennie nas odwiedzał, nie ukrywając, że ma trudności ze znalezieniem dla mnie domu.

- W okolicznych gospodarstwach wszyscy „pewni” ludzie przyjęli już jedno albo dwoje dzieci. Poza tym ewentualni kandydaci wahają się, bardziej wzruszałoby ich niemowlę. Joseph jest już duży, ma siedem lat.

- Mam sześć lat, ojczcie - zawołałem.

Żeby pogratulować mi tego sprostowania, Mademoiselle Marcelle wepchnęła mi do buzi cukierka, po czym wrzasnęła pod adresem księdza:

- Jeśli pan chce, panie Pons, mogę zagrozić niezdecydowanym.

- Czym?

- Psiakrew! Koniec z lekami, jeśli nie przyjmują pana uciekinierów! Niech sobie zdychają!

- Nie, mademoiselle Marcelle, ludzie muszą wziąć na siebie to ryzyko z własnej woli. Za współudział grozi im więzienie...

Mademoiselle Marcelle obróciła się w moją stronę.

- Chciałbyś zamieszkać w internacie przy szkole ojca Ponsa?

Wiedząc, że nie ma co odpowiadać, ani drgnąłem i pozwoliłem jej dalej mówić.

- Niech pan go weźmie ze sobą do Żółtej Willi, panie Pons, chociaż to pierwsze miejsce, gdzie przyjdą szukać ukrywanych dzieci. Ale, psiakrew, z papierami, które mu zrobiłam...

- Jak go wykarmię? Nie mogę już prosić władz o żadną dodatkową kartkę na żywność. Dzieci z Żółtej Willi są niedożywione. Dobrze pani wie.

- Nie ma problemu! Wczorajem burmistrz przychodzi do mnie na zastrzyk. Zajmę się tym.

O zmroku, kiedy już opuściła żelazną kratę przed apteką, wywołując hałas nie mniejszy niż gdyby wysadzała w powietrze czołg, Mademoiselle Marcelle przysłała po mnie do piwnicy.

- Joseph, niewykluczone, że będę cię potrzebowała. Możesz przyjść na górę i posiedzieć cichutko w szafie z płaszcami?

Ponieważ nie odpowiadałem, zdenerwowała się.

- Zadałam ci pytanie! Psiakrew, głupi jesteś czy co?

- Dobrze.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wśliznąłem się między wiszące palta przesycone naftaliną, a Mademoiselle Marcelle przez ten czas wprowadzała burmistrza na zaplecze apteki. Oswobodziła go z gabardynowego płaszcza, który wepchnęła mi pod nos.

- Coraz trudniej mi zdobyć insulinę, panie Van der Mersch.

- Ach, czasy są ciężkie...

- Właściwie nie będę mogła zrobić panu zastrzyku w przyszłym tygodniu. Brak! Niedobór!

Koniec!

- Mój Boże... a... moja cukrzyca...

- Nic się nie da zrobić, panie burmistrzu. Chyba że...

- Chyba że co, mademoiselle Marcelle? Niech pani powie! Gotów jestem na wszystko.

- Chyba że da mi pan kartki na żywność. Będę mogła wymienić je na pańskie lekarstwo.

Burmistrz zaprotestował, spanikowany.

- To niemożliwe... pilnują mnie... w ciągu ostatnich tygodni przybyło w wiosce za dużo ludzi... sama wie pani dlaczego... nie mogę żądać więcej, nie ściągając uwagi Gestapo... to... to obróciłoby się przeciwko nam... Przeciwno nam wszystkim!

- Proszę wziąć tę watkę i mocno przycisnąć.

Mocniej!

Kiedy tak strofowała burmistrza, zbliżyła się do mnie i pospiesznie szepnęła przez uchylone drzwi:

- Weź klucze z jego płaszcza, te żelazne, nie te obciążone skórą.

Wydawało mi się, że źle zrozumiałem. Czyżby się tego domyśliła? Dorzuciła przez zęby:

- I pospiesz się, psiakrew!

Wróciła do burmistrza dokończyć opatrunek, podczas gdy ja, po omacku, pozbawiłem go kluczy.

Po odejściu gościa wypuściła mnie z szafy, posłała do piwnicy, a potem zagłębiła się w noc.

Nazajutrz wczesnym rankiem ojciec Pons przyszedł z wiadomością.

- Szykuje się awantura, mademoiselle Marcelle, z merostwa wykradzono kartki na żywność!

Zatarła ręce.

- Tak? Jak tego dokonano?

- Włamywacze wyważyli okiennice i stłukli szybę w oknie.

- No, no! Burmistrz zdemolował swój ratusz?

- Co pani sugeruje? To on ukradł..

- Nie, to ja. Za pomocą jego kluczy. Ale kiedy wrzucałam mu je do skrzynki dzisiaj rano, byłam pewna, że upozoruję włamanie, żeby uniknąć podejrzeń. No, panie Pons, proszę to wziąć. Ten bloczek należy do pana.

Choć cierpka i niezdolna do uśmiechu, Mademoiselle Marcelle miała w oku radosny błysk.

Wzięła mnie za ramiona i popchnęła.

- No! Teraz pójdziesz z ojcem!

Upłynęło trochę czasu, zanim przygotowano mi bagaż, zgromadzono fałszywe papiery, przepytano z historii fałszywego życia, tak że przyszedłem do szkoły w porze, kiedy uczniowie jedli obiad.

Żółta Willa niczym olbrzymi kot leżała wtulona w szczyt wzgórza. Kamienne łapy podestu prowadziły do paszczy, niegdyś pomalowanego na różowo holu, gdzie wymęczone kanapy wystawiały niepewne języki. Na piętrze dwa przeszklone okna dominowały nad budynkiem jak dwoje oczu i bacznie obserwowały, co dzieje się na dziedzińcu, pomiędzy ogrodzeniem a platanami. Dwa balkony na dachu najeżone kutym żelazem przywodziły na myśl uszy, a gmach refektarza z lewej strony układał się jak ogon.

Z „żółci” pozostała willi już tylko nazwa. Sto lat zaniedbania, deszczu, niszczenia i piłek rzucanych przez dzieci o tynk nadszarpnęło, a potem naznaczyło pręgami jej futro, które w końcu przybrało przytłumiony płowy odcień.

- Witaj w Żółtej Willi, Joseph - powiedział ojciec Pons. - Teraz to będzie twoja szkoła i twój dom. Mamy tu trzy rodzaje uczniów: eksterniści, którzy wracają na obiad do domu, półpensjonariusze, którzy jedzą w szkole południowy posiłek, i pensjonariusze, którzy tutaj mieszkają. Ty będziesz u nas mieszkał: pokażę ci twoje łóżko i szafę w sypialni.

Myślałem o tych różnicach: eksternista, półpensjonariusz, pensjonariusz. Podobało mi się, że odzwierciedlają nie tylko pewien porządek, ale także hierarchię: od zwykłego ucznia aż do studenta pełną gębą, przechodząc przez półstudenta. Wchodziłem więc od razu do najwyższej kasty. A że w poprzednich dniach cierpiałem z powodu braku szlachectwa, cieszyłem się teraz, że przyznano mi to dodatkowe wyróżnienie.

W sypialni zachwyciło mnie odkrycie mojej szafy - nigdy przedtem nie miałem własnej szafy - i wpatrując się w puste półki, marzyłem o różnych skarbach, które na nich poukładałem, nie do końca świadom, że jak na razie, mam do położenia tylko dwa zużyte bilety tramwajowe.

- Teraz przedstawię ci twojego opiekuna. Każdy duży mieszkaniec Żółtej Willi ma pod opieką młodszego. Rudi!

Ojciec Pons kilka razy bez skutku krzyknął „Rudi”. Wychowawcy powtórzyli imię jak echo.

Potem uczniowie. Wreszcie, po chwili, która wydała mi się nie do zniesienia i przewróciła szkołę do góry nogami, zjawił się rzeczony Rudi.

Obiecując mi „dużego” jako opiekuna, ojciec Pons nie skłamał: Rudi zdawał się nie mieć końca. Wznosił się tak wysoko, jakby wisiał na jakimś sznurku biegnącym za plecami, a ręce i nogi dyndały mu w powietrzu, bezsilne, powyginane; głowa kiwała się do przodu, ciężka,

porośnięta włosami zbyt ciemnymi, zbyt gęstymi, zbyt sztywnymi, zdziwionymi, że się tam znajdują. Szedł powoli, jakby chciał przeprosić za swój gigantyczny wzrost, niczym poczciwy dinozaur mówiący: „Nie obawiajcie się - jestem dobry, jem tylko trawę”.

- Tak, ojcze? - spytał poważnym, ale miękkim tonem.

- Rudi, oto Joseph, twój podopieczny.

- Och nie, ojcze, to nie jest dobry pomysł.

- Nie dyskutuj.

- Chłopiec wygląda na fajnego... nie zasługuje na to.

- Masz oprowadzić go po szkole i nauczyć regulaminu.

- Ja?

- Jesteś tak często karany, że znasz go lepiej niż ktokolwiek. Po drugim dzwonku odstawisz swojego pupila do klasy dla najmłodszych.

Ojciec Pons oddalił się. Rudi spojrział na mnie jak na naręcze polan, które musi przenieść na plecach, i ciężko westchnął.

- Jak się nazywasz?

- Joseph Bertin. Mam sześć lat. Urodziłem się w Antwerpii, a moi rodzice umarli na hiszpankę.

Wzniósł oczy do nieba.

- Nie wyklepuj lekcji, czekaj, aż cię zapytają, jeśli chcesz, żeby ci uwierzyli.

Zły na siebie, że zachowałem się niezręcznie, skorzystałem z rady hrabiny de Sully i zaatakowałem wprost:

- Dlaczego nie chcesz być moim opiekunem?

- Bo mam złe oko. Jeśli w soczewicy jest jakiś kamyk, zawsze trafi się mnie. Jeśli jakieś krzesło ma się złamać, to pode mną. Jeśli spada samolot, to na mnie. Mam pecha i przynoszę pecha.

W dniu, w którym się urodziłem, mój ojciec stracił pracę, a matka zaczęła płakać. Jeśli powierysz mi jakąś roślinę, padnie. Jeśli pożyczysz mi rower, złapię gumę. Mam palce, które przynoszą śmierć. Kiedy gwiazdy na mnie patrzą, całe aż drżą. Księżyc też trzęsie portkami. Jestem pomyłką, katastrofą, plagą, ucieleśnieniem nieszczęścia, prawdziwym szlemielem.

Im dłużej się skarżył głosem przeskakującym pod wpływem emocji od tonów niskich do wysokich, tym bardziej skręcałem się ze śmiechu.

W końcu spytałem:

- Są tutaj Żydzi?

Zesztywniał.

- Żydzi? W Żółtej Willi? Ani jednego! Nigdy!

Dlaczego mnie o to pytasz?

Wziął mnie za ramiona i przyjrzał mi się uważnie.

- Czy ty jesteś Żydem, Joseph?

Patrzył na mnie twardo. Wiedziałem, że sprawdza, czy mam zimną krew. Pod surowością spojrzenia kryło się błaganie: „Kłam dobrze, proszę cię, wymyśl mi zaraz jakieś piękne kłamstwo”.

- Nie, nie jestem Żydem.

Zwolnił uścisk, uspokojony. Mówiłem dalej:

- Zresztą nie wiem nawet, co to Żyd.

- Ja też nie.

- Jak wyglądają Żydzi, Rudi?

- Haczykowany nos, wyłupiaste oczy, zwisająca dolna warga, odstające uszy.

- Podobno mają nawet racice zamiast stóp i ogon między pośladkami.

- Trzeba by sprawdzić - powiedział Rudi poważnie. - W każdym razie teraz Żyd to przede wszystkim ktoś, na kogo się poluje i kogo się aresztuje. Dobrze, że nim nie jesteś, Joseph.

- Dobrze, że ty też nim nie jesteś, Rudi. Powinieneś jednak unikać używania jidysz i mówienia szlemiel zamiast pechowiec.

Zadrżał. Uśmiechnąłem się. Każdy z nas poznał sekret drugiego, mogliśmy teraz być współnikami. Żeby przypieczętować zgodę, kazał mi wykonać skomplikowane ruchy palcami, dłońmi i łokciami, a potem splunąć na ziemię.

- Chodź teraz zwiedzić Żółtą Willę.

Naturalnym gestem wziął moją rękę w swoje olbrzymie ciepłe łapsko i jakbyśmy od zawsze byli braćmi, odkrył przede mną świat, w którym miałem spędzić następne lata.

- Ale jednak - mruknął przez zęby - nie uważasz, że wyglądam jak ofiara?

- Gdybyś nauczył się posługiwać grzebieniem, to by wszystko zmieniło.

- A moja postawa? Widziałeś? Mam stopy jak kajaki i cepy zamiast rąk.

- Bo urosły szybciej niż reszta, Rudi.

- Rozrastam się, ogromnieję! Co za pech tak przemieniać się w tarczę!

- Wysoki wzrost budzi zaufanie.

- Taaaak?

- I przyciąga dziewczyny.

- Taaaak... przyznasz, że trzeba być cholernym szlemielem, żeby nazywać siebie szlemielem!

- Tobie nie szczęścia brakuje, Rudi, ale mózgu.

Tak zaczęła się nasza przyjaźń: natychmiast wziąłem swojego protektora pod opiekę.

Pierwszej niedzieli ojciec Pons zavezwał mnie o dziewiątej do swojego gabinetu.

- Joseph, bardzo mi przykro: chciałbym, żebyś poszedł na mszę z innymi dziećmi z internatu.

- Dobrze. Dlaczego ojcu przykro?

- Nie przeszkadza ci to? Pójdiesz do kościoła, nie do synagogi.

Wy tłumaczyłem mu, że moi rodzice nie chodzili do synagogi i nawet podejrzewałem, że nie wierzą w Boga.

- Nieważne - uciął ojciec Pons. - Wierz, w co chcesz, w Boga Izraela, w Boga chrześcijan albo w nic, ale tutaj zachowuj się jak wszyscy. Pójdziemy do kościoła we wsi.

- Nie do kaplicy w ogrodzie?

- Nie służy już jako kaplica. Poza tym chcę, żeby we wsi znano wszystkie owieczki z mojego stada.

Pędem wróciłem do sypialni, żeby się przygotować. Dlaczego byłem tak podniecony tym, że udaję się na mszę? Zapewne czułem, że korzystnie będzie zostać katolikiem: będę dzięki temu chroniony. Lepiej: stanę się normalny. Bycie Żydem na razie oznaczało, że mam rodziców, którzy nie są zdolni mnie wychować, że mam nazwisko, które lepiej zmienić na inne, że bez przerwy muszę kontrolować swoje emocje i jeszcze do tego kłamać. Więc co to za interes? Bardzo chciałem zostać katolicką sierotką.

Wyruszyliśmy do Chemlay w naszych płóciennych granatowych ubrankach, parami według wzrostu, krocząc w rytm harcerskiej piosenki.

Z każdego domostwa biegły ku nam życzliwe spojrzenia. Uśmiechano się do nas. Posyłano przyjazne znaki. Byliśmy częścią niedzielного widowiska: sieroty ojca Ponsa.

Tylko Mademoiselle Marcelle, na progu swojej apteki, wyglądała, jakby miała ochotę kąsać.

Kiedy nasz ksiądz, zamykający pochód, przechodził koło niej, nie mogła się powstrzymać, żeby nie burknąć:

- Jazda na pranie mózgów! Nakarmcie ich dymem! Dajcie im dawkę opium! Myślicie, że im pomagacie, ale te narkotyki to trucizna! Zwłaszcza religia!

- Dzień dobry, mademoiselle Marcelle - odpowiedział ojciec Pons z uśmiechem - złość bardzo panią upiększa, jak w każdą niedzielę.



Zaskoczona, komplementem, schroniła się z wściekłością w sklepie, zatrzasnąwszy za sobą drzwi tak, że omal nie stłukła dzwonka.

Nasza grupa minęła przedsionek z niepokojącymi rzeźbami i tak odkryłem pierwszy w moim życiu kościół.

Uprowadzony przez Rudiego, wiedziałem, że trzeba umoczyć palce w kropielnicy, wykonać na piersi znak krzyża i przyklęknąć na wprost ołtarza. Wciągany przez tych, którzy mnie poprzedzali, popychany przez tych, którzy szli za mną, stwierdziłem z przerażeniem, że nadchodzi moja kolej. Bałem się, że w chwili, kiedy dotknę święconej wody, jakiś głos zabrzmi w tych murach i gniewnie wykrzyknie: „To dziecko nie jest chrześcijaninem! Niech wyjdzie! To Żyd!”. Tymczasem woda zadrżała, gdy jej dotknąłem, przylgnęła, chłodna i czysta, do mojej ręki i pieszczotliwie spłynęła między palcami. Zachęcony tym, pilnie wyrysowałem na piersi idealnie symetryczny krzyż, po czym zgiąłem kolano, tak jak wcześniej zrobili to moi koledzy, i usiadłem koło nich na ławce.

„Znajdujemy się w domu Bożym - odezwał się cienki głos. - Dzięki Ci, Panie, że przyjmujesz nas w swoim domu”.

Podniosłem głowę: to był dom! To nie był dom byle kogo! Dom bez drzwi i wewnętrznych ścian, z kolorowymi oknami, które się nie otwierały, z filarami, które do niczego nie służyły, i z zaokrąglonymi sufitami. Dlaczego krzywe sufity? I takie wysokie? I bez żyrandoli? I dlaczego koło księdza w środku dnia pali się tyle świec? Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy dla wszystkich starczy miejsc. A gdzie usiądzie Bóg? I dlaczego trzystu ludzi stłoczonych w tym pomieszczeniu zajmuje tak mało miejsca? Do czego służy ta cała przestrzeń wokół nas? Gdzie mieszka Bóg w swoim domu?

Ściany zadrżały i te drgania przerodziły się w muzykę: grały organy. Wysokie dźwięki łaskotały mi uszy. Niskie dudniły, tak że siedząc na ławce, czuło się ich wibracje. Melodia rozprzestrzeniała się, gęsta, bujna, nieokiełznana.

W sekundę zrozumiałem wszystko: Bóg tutaj jest. Wszędzie wokół nas. Wszędzie nad nami.

Jest tym powietrzem, które faluje, powietrzem, które śpiewa, powietrzem, które kłębi się pod sklepieniem, powietrzem, które przeży grzbiet pod kopułą. Jest powietrzem, które kąpie się w barwach witraży, powietrzem, które błyszczy, olśniewa, pachnie mirrą, pszczelim woskiem i słodyczą lilii.

Czułem w sercu pełnię, czułem w sercu siłę.

Wdychałem Boga pełną piersią, na granicy omdlenia.

Msza trwała dalej. Niczego z niej nie rozumiałem; zafascynowany, leniwie przyglądałem się ceremonii. Kiedy starałem się uchwycić słowa, ich treść przerastała moje możliwości intelektualne.

Bóg był jeden, potem było go dwóch - Ojciec i Syn - a czasem trzech - Ojciec, Syn i Duch Święty. Kim był Duch Święty? Kuzynem? Nagle panika: pojawiała się czwarta osoba! Proboszcz z Chemlay dodał jeszcze kobietę, Najświętszą Maryję Pannę. Skołowany nagłym mnożeniem się bogów, dałem spokój tej łamigłówce i z zapalem zacząłem śpiewać, bo bardzo to lubiłem.

Kiedy ksiądz zapowiedział, że będzie rozdawać okrągłe białe wafelki, spontanicznie chciałem ustawić się w kolejce, ale koledzy mnie powstrzymali.

- Nie wolno ci. Jesteś za mały. Nie byłeś jeszcze u Pierwszej Komunii.

Mimo rozczarowania odetchnąłem z ulgą: nie przeszkadzili mi pod pretekstem, że jestem Żydem, a więc to nie rzucało się w oczy.

Po powrocie do Żółtej Willi pobiegłem do Rudiego, żeby podzielić się z nim entuzjazmem.

Ponieważ nigdy wcześniej nie byłem w teatrze ani na koncercie, przypisałem katolickiemu nabożeństwu radości, jakich dostarcza spektakl. Rudi wysłuchał mnie życzliwie, po czym pokiwał głową.

- Nie widziałeś jeszcze najlepszego...

- Czego?

Wyjął coś ze swojej szafki i dał mi znak, żebym poszedł za nim do parku. Schroniliśmy się pod kasztanem, z dala od ciekawskich, usiedliśmy na ziemi po turecku i wtedy mi to pokazał.

Z książeczki do nabożeństwa oprawionej w delikatną giemzową skórę, spomiędzy kartek, których złożony brzeżek przywodził na myśl złożenia ołtarza, spośród jedwabnych zakładek przypominających zielony ornat kapłana, wyciągnął cudowne obrazki. Przedstawiły kobietę, zawsze tę samą, chociaż jej rysy, uczesanie, kolor oczu i włosów zmieniały się. Po czym można było poznać, że to ciągle ta sama? Po świetle bijącym z jej czoła, po przejrzystości spojrzenia, po niezwyklej bladości cery lekko przyprószonej różem na policzkach, po prostocie jej długich fałdowanych szat, w których stała dumna i olśniewająca niczym królowa.

- Kto to?

- Najświętsza Panna. Matka Jezusa. Żona Pana Boga.

Nie było wątpliwości, musiała mieć boskie pochodzenie. Promieniała. Nawet obrazek zdawał się zrobiony nie z papieru, ale z bezy, oślepiającej bielą ubitych białek, z wytłoczonymi wklęsłymi i wypukłymi wzorkami, których koronka dodawała jeszcze lekkości delikatnym błękitom i zwiewnym różowością, pastelom bardziej ulotnym niż łaskotane świtem obłoki.

- Myślisz, że to złoto?

- No pewnie.

Wodziłem palcem po cennej chuście okalającej spokojną twarz. Muskałem złoto. Gładziłem głowę Matki Boskiej. A ona mi na to pozwalała.

Niespodziewanie łzy napłynęły mi do oczu i osunąłem się na ziemię. Rudi też. Płakaliśmy cicho z obrazkami od komunii przyciśniętymi do serca. Każdy myślał o swojej matce. Gdzie jest?

Czy tak jak Maryja odczuwa w tej chwili spokój?

Czy ma na twarzy ten wyraz miłości, który widzieliśmy tysiące razy, kiedy się nad nami pochylała, i który odnajdywaliśmy na obrazkach, czy też smutek, lęk albo rozpacz?

Zacząłem nucić maminią kołysankę, patrząc na niebo przez gałęzie. Dwie oktawy niżej Rudi dołączył swój chrapliwy głos do mojego. I tak odkrył nas ojciec Pons: dwoje dzieci śpiewających rymowaną w jidysz i płaczących nad naiwnymi obrazkami Matki Boskiej.

Spostrzegłszy go, Rudi uciekł. W wieku szesnastu lat bardziej niż ja obawiał się śmieszności.

Ojciec Pons usiadł koło mnie.

- Nie jesteś tutaj zbyt nieszczęśliwy?

- Nie, ojcze.

Przełknąłem łzy i spróbowałem powiedzieć mu coś miłego:

- Bardzo podobała mi się msza. I cieszę się, że w tym tygodniu zacznę chodzić na lekcje katechizmu.

- To dobrze - mruknął bez przekonania.

- Myślę, że później zostanę katolikiem.

Spojrzał na mnie łagodnie.

- Jesteś Żydem, Joseph, i nawet jeśli wybierzesz moją religię, nadal nim pozostaniesz.

- Co to znaczy być Żydem?

- To znaczy, że zostało się wybranym. Że pochodzi się z ludu wybranego przez Boga tysiące lat temu.

- Dlaczego nas wybrał? Bo byliśmy lepsi od innych? Czy gorsi?

- Ani jedno, ani drugie. Nie macie żadnych szczególnych zasług albo wad. Po prostu to na was spadło.

- Co na nas spadło?

- Misja. Obowiązek. Aby świadczyć, że jest tylko jeden Bóg i poprzez tego Boga zmuszać ludzi, żeby szanowali innych ludzi. ,;

- Chyba się nie udało, co?

Ksiądz nie odpowiedział. Mówiłem dalej.

- Jeśli zostaliśmy wybrani, to jako cel. Hitler chce nas wykończyć.

- Może właśnie z tego powodu? Dlatego, że stanowicie przeszkodę dla jego barbarzyństwa.

To misja, jaką obarczył was Bóg, jest szczególna.

Nie wasz naród. Czy wiesz, że Hitler chciałby się pozbyć także chrześcijan?

- Nie może, jest ich za dużo!

- Na razie mu się to nie udaje. Próbował w Austrii, ale szybko przestał. Jednak taki jest jego plan. Żydzi, a potem chrześcijanie. Zaczyna od was. Skończy na nas.

Zrozumiałem, że działanie ojca wypływa z solidarności, nie tylko z samej dobroci. To mnie trochę podbudowało. Pomyślałem znowu o hrabim i hrabinie de Sully.

- Niech ojciec powie, jeśli wywodzę się z rasy liczącej kilka tysięcy lat, godnej szacunku i w ogóle, to znaczy, że jestem szlachetnie urodzony?

Ze zdziwienia przez chwilę nic nie mówił, potem powiedział cicho:

- Tak, oczywiście, jesteś szlachetnie urodzony.

- Tak mi się wydawało.

Uspokoilem się, że moje przypuszczenie się potwierdza. Ojciec Pons mówił dalej:

- Dla mnie wszyscy ludzie są szlachetnie urodzeni.

Puściłem jego wyjaśnienie mimo uszu, żeby zatrzymać tylko to, co mi odpowiadało.

Przed odejściem poklepał mnie po ramieniu.

- Może cię zdziwię, ale nie chcę, żebyś za dużo zajmował się katechizmem i obrzędami. Ogranicz się do minimum, dobrze?

Oddalił się, pozostawiając mnie wściekłego.

A więc, dlatego że jestem Żydem, nie mam prawa do normalnego świata! Udziela mi się go tylko od niechcenia. Nie powinienem uważać go za swój! Katolicy chcą pozostać w swoim gronie, banda hipokrytów i kłamców!

Rozjuszony, dołączyłem do Rudiego i wylałem przed nim swoją złość na ojca. Nie próbował mnie uspokoić, lecz zachęcił do zachowania dystansu.

- Masz rację, że jesteś nieufny. Ten facet jest podejrzany. Odkryłem, że ma swój sekret.

- Jaki sekret?

- Drugie życie. Ukryte życie. Haniebne życie, to pewne.

- Co?

- Nie, nie mogę nic powiedzieć.

Musiałem męczyć Rudiego aż do wieczora, żeby wreszcie, znużony, wyznał mi, co odkrył.

Każdego wieczora, po zgaszeniu świateł, kiedy sypialnie były zamknięte, ojciec Pons bezszelestnie schodził na dół, z ostrożnością włamywacza odryglowywał tylne drzwi i wymykał się do szkolnego parku. Wracał dopiero po dwóch czy trzech godzinach. Na czas swojej nieobecności zostawiał w mieszkaniu zapaloną lampkę, żeby myślano, że tam przebywa.

Rudi podpatrzył te wędrówki, kiedy sam urywał się z sypialni do ubikacji na papierosa.

- Dokąd chodzi ?

- Nie mam pojęcia. Nie wolno nam opuszczać Willi.

- Pójdę za nim.

- Ty! Masz zaledwie sześć lat!

- Tak naprawdę to siedem. Prawie osiem.

- Wyrzucą cię!

- Tak myślisz? Odeślą mnie do rodziny?

Chociaż Rudi głośno zarzekał się, że nie będzie moim współnikiem, wyłudziłem od niego zegarek i tak niecierpliwie czekałem na wieczór, że nie musiałem nawet walczyć z sennością.

O wpół do dziesiątej prześliznąłem się między łózkami do korytarza, skąd, schowany za dużym piecem, zobaczyłem ojca Ponsa, jak schodzi, sunąc wzdłuż ścian cicho jak cień.

Diaboliczny i szybki, otworzył brzuchate zasuwy w tylnych drzwiach i wyszedł na dwór.

Spóźniony o minutę, której potrzebowałem, żeby pchnąć drzwi tak, by nie zaskrzypiały, omal nie straciłem z oczu jego szczupłej sylwetki migającej między drzewami. Czy na pewno był to ten sam człowiek, szacowny kapłan, wybawiciel dzieci, który szedł żwawym krokiem w słabym świetle księżyca, zwinniejszy od wilka, omijając krzaki i pnie, na które ja nadziewałem się co chwila gołymi stopami? Drżałem, żeby mnie nie zostawił za sobą. Gorzej, bałem się, że zniknie, tak bardzo jawił mi się tego wieczoru jako złowrogi stwór skumany z najdziwniejszymi czarami.

Zwolnił na polance, gdzie kończył się park.

Wznosił się tam mur ogrodzenia. Było tylko jedno wyjście, niska żelazna, furtka wychodząca na drogę, obok nieużywanej kaplicy. Dla mnie pogoń kończyła się tutaj: nie odważyłbym się nigdy gonić go dalej w piżamie, ze zmarzniętymi nogami w ciemnej nieznannej okolicy. On jednak podszedł do wąskiego kościoła, wyjął z sutanny przeogromny klucz, otworzył drzwi i szybko zamknął je za sobą na dwa spusty.

A więc to była tajemnica ojca Ponsa? Wieczorami chodził modlić się samotnie, po kryjomu, w głębi ogrodu? Byłem rozczarowany. Cóż to za banał! Co za brak romantyzmu! Trząsałem się z zimna, miałem wilgotne stopy, pozostawało mi tylko wrócić.

Nagle zardzewiała furtka uchyliła się i jakiś intruz, przybyły z zewnątrz, wszedł na nasz teren z workiem na plecach. Bez wahania skierował się w stronę kaplicy, gdzie zastukał dyskretnie, rytmicznie, kilka razy, zapewne zgodnie z ustalonym kodem.

Ojciec otworzył, zamienił po cichu z nieznanym kilka słów, odebrał worek, a potem czym prędzej się zamknął. Mężczyzna odszedł, nie czekając.

Stałem ukryty za pniem drzewa, zakłopotany. Jakiemu to handlowi oddawał się ojciec? Co dostał w tym worku? Usiadłem na mchu, plecami oparty o dąb, zdecydowany czekać na kolejne dostawy.

Cisza nocy trzaskała ze wszystkich stron, jakby spalał ją płomień lęku. Hurkotały tajemnicze odgłosy, pojedyncze, dziwne chroboty, krótkie skrzypnięcia, skargi tak samo niezrozumiałe jak niemy ból, który po nich następował. Moje serce biło za szybko. Jakieś imadło ścisnęło mi czaszkę. Strach przeradzał się w gorączkę.

Jedno mnie tylko uspokajało: tykanie zegarka. Na moim nadgarstku, nieporuszona, przyjazna cebula Rudiego nie dawała się zastraszyć ciemnościom i nadal odmierzała czas.

O północy ojciec wyszedł z kościoła, zamknął go starannie i ruszył z powrotem w stronę Willi.

Byłem tak wycieńczony, że omal nie zatrzymałem go w przejściu, ale przemknął szybko między drzewami i nie zdążyłem.

Wracając, nie przejawiałem tyle ostrożności, co w tamtą stronę. Kilka razy stąpnąłem na gałązkę. Przy każdym trzasku ojciec zatrzymywał się, zaniepokojony, i badał wzrokiem ciemności. Gdy dotarł do Żółtej Willi, od razu wszedł do środka i zasunął za sobą rygle.

Tego, że znajdę się zamknięty na zewnątrz internatu, zupełnie nie przewidziałem! Budynek wznosił się przede mną prosty, zwarty, ciemny i wrogi. Zimno i brak snu nadszarpnęły moje siły.

Co robić? Nie dość, że jutro wyda się, że spędziłem noc na dworze, to gdzie teraz będę spał? Czy w ogóle doczekam jutra?

Usiadłem na schodach i rozplakałem się. Przynajmniej to mnie rozgrzewało. Smutek dyktował mi, co należy zrobić: umrzeć! Tak, najgodniej będzie umrzeć, tutaj, natychmiast.

Czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia.

- Chodź, szybko!

Wzdrygnąłem się odruchowo. Rudi spoglądał na mnie smutno.

- Zobaczyłem, że nie wróciłeś, i zrozumiałem, że masz problem.

Mimo że był moim opiekunem, że miał dwa metry wzrostu i że jeśli chciałem zachować autorytet, powinienem utrudniać mu życie, rzuciłem mu się w ramiona i na czas kilku łez zgodziłem się na to, że mam tylko siedem lat.

Następnego dnia na przerwie opowiedziałem Rudiemu o swoim odkryciu. Z miną znawcy od razu postawił diagnozę.

- Czarny rynek! Handluje jak wszyscy. To musi być to.

- Co odbierał w tym worku?

- Jedzenie, no przecież!

- To dlaczego nie przyniósł go tutaj?

Rudiego zamurowało. Mówiłem dalej:

- I dlaczego siedzi dwie godziny w kaplicy, bez światła? Co robi?

Rudi zaczął szukać odpowiedzi, grzebiąc palcami w czuprynie.

- Nie wiem... Może zjada, to, co jest w worku!

- Ojciec Pons, taki chudzielec, jadłby przez dwie godziny? Zawartość takiego dużego worka?

Wierzysz w to, co mówisz?

- Nie.

Przez cały dzień obserwowałem ojca Ponsa, gdy tylko nadarzyła się okazja. Jaki sekret ukrywał? Tak dobrze fingował normalne zachowanie, że aż zaczynałem się go bać. Jak można tak wspaniale udawać? Jak można aż tak symulować? Co za okropna dwulicowość! A może jest diabłem w sutannie?

Przed wieczornym posiłkiem Rudi przybiegł do mnie, rozradowany.

- Już wiem: działa w ruchu oporu. Na pewno zakamuflował w kaplicy nadajnik radiowy. Co wieczór odbiera informacje i przekazuje dalej.

- Masz rację!

Ten pomysł od razu mi się spodobał, ponieważ rehabilitował ojca Ponsa - bohatera, który przyjechał po mnie do państwa de Sully.

O zmroku ojciec Pons zorganizował na dziedzińcu zabawę w piłkę. Zrezygnowałem z gry, żeby móc go do woli podziwiać, jak swobodny, miły, roześmiany ugania się z dziećmi, które chroni przed nazistami. Nie miał w sobie nic demonicznego. Biła od niego sama dobroć. To się rzucało w oczy.

W następnych dniach spałem trochę lepiej. Bo odkąd przybyłem do internatu, bałem się każdej nocy. W żelaznym łóżku, między zimnymi prześcieradłami, pod okazałym sufitem naszej sypialni, na materacu tak cienkim, że kości dotykały metalowych sprężyn, chociaż dzieliłem tę salę z trzydziestką kolegów i jednym wychowawcą, czułem się bardziej samotnie niż kiedykolwiek.

Bałem się zasnąć, wzbraniałem sobie tego, i w chwilach tej walki bardzo siebie nie lubiłem.

Myślałem o sobie ze wstrętem. Bo nie ma co gadać, byłem szmatą, wszą, mniej niż krowim łajnem. Pastwiłem się nad sobą, beształem się, obiecywałem sobie najgorsze kary. Jeśli się znów zapomnisz, będziesz musiał oddać najładniejszą kulkę, tę z czerwonego agatu, chłopakowi, którego najbardziej nie lubisz. Na przykład Fernandowi!” A jednak, mimo tych gróźb, znowu ulegałem... Nie pomagały żadne środki ostrożności, rano budziłem się z pośladkami przyklejonymi do ciepłej wilgotnej plamy o ciężkiej woni skoszonego siana, której dotyk i zapach najpierw mi się podobał, w której nawet z lubością się taplałem, dopóki nie dotarła do mnie straszliwa świadomość, że znowu zsiakałem się w łóżko! Odczuwałem tym większy wstyd, że dawno już przestałem się moczyć. Tymczasem Żółta Willa sprawiła, że się cofnąłem, nie rozumiałem dlaczego.

Przez kilka nocy, może dlatego, że w chwili zasypiania, z głową na poduszce, myślałem o bohaterstwie ojca Ponsa, radziłem sobie z kontrolowaniem pęcherza.

Którejś niedzieli po południu Rudi podszedł do mnie z miną spiskowca.

- Mam klucz...

- Klucz do czego?

- Do kaplicy, oczywiście.

Będziemy mogli zobaczyć na własne oczy działalność naszego bohatera.

Po kilku minutach, zziązani, lecz pełni entuzjazmu, wchodziliśmy do kaplicy.

Była pusta.

Żadnej ławki, żadnego klęcznika, żadnego ołtarza. Nic. Otynkowane ściany. Pokryta pyłem posadzka. Wyschnięte, stwardniałe pajęczyny.

Sfatygowana budowla, zupełnie nieinteresująca.



Nie śmieliśmy na siebie spojrzeć, każdy bał się, że w rozczarowaniu towarzysza znajdzie potwierdzenie własnego.

- Wejźmy na dzwonnice. Jeśli jest jakiś nadajnik radiowy, to na pewno na górze.

Wspięliśmy się po krętych schodach. Na górze czekały na nas tylko gołębie odchody.

- Przecież to niemożliwe!

Rudi tupał nogą. Jego hipoteza upadała. Ojciec nam się wymykał. Nie udawało nam się przejrzeć jego tajemnicy.

Dla mnie rzecz miała się jeszcze gorzej: nie mogłem już wmawiać sobie, że jest bohaterem.

- Wracajmy.

Idąc z powrotem przez las, podnieceni pytaniem, co robi ojciec każdej nocy po ciemku w tych pustych murach, nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Moja decyzja, zapadła: nie będę czekał ani dnia dłużej, żeby się tego dowiedzieć, tym bardziej, że mogę znowu zacząć moczyć materac.

Noc. Wymarły krajobraz. Milczenie ptaków.

O wpół do dziesiątej warowałem na schodach Willi, ubrany cieplej niż poprzednio, z szalikiem na szyi, w chodakach, które owinąłem skradzionym z pracowni robót ręcznych kawałkiem materiału, żeby nie robić hałasu.

Cień zbiegł po schodach i zagłębił się w park, gdzie mrok zamazywał wszystkie kształty.

Gdy znalazł się w kaplicy, pognałem na polankę i wystukałem tajny kod w drewniane drzwi.

Kiedy się uchyliły, nie czekając na reakcję, wśliznąłem się do środka.

- Ale...

Ojciec nie zdążył mnie zidentyfikować, zobaczył tylko sylwetkę mniejszą niż zazwyczaj. Odruchowo zamknął za mną drzwi. Staliśmy obaj w półmroku, nie rozróżniając rysów ani nawet konturów drugiego.

- Kto to? - krzyknął ojciec.

Przerażony własną odwagą, nie mogłem wykrztusić z siebie odpowiedzi.

- Kto to? - powtórzył ojciec, tym razem z groźbą w głosie.

Miałem ochotę uciec. Rozległ się odgłos pocieranej zapałki, rozbłysł płomyk. Twarz ojca Ponsa zarysowała się w jego świetle, zmieniona, wykrzywiona, niepokojąca. Cofnąłem się. Płomień się przybliżył.

- Co? To ty, Joseph?

- Tak.

- Jak śmiałeś opuścić Willę?

- Chcę wiedzieć, co ojciec tutaj robi.

Jednym tchem opowiedziałem mu o swoich wątpliwościach, wyprawach, pytaniach, o pustym kościele.

- Wracaj natychmiast do sypialni.

- Nie.

- Masz mnie słuchać.

- Nie. Jeżeli się nie dowiem, zacznę krzyczeć i wtedy współnik się zorientuje, że nie zachował ojciec dyskrecji.

- To jest szantaż, Joseph.

W tej samej chwili rozległy się uderzenia w drzwi. Zamilkłem. Ojciec otworzył, wysunął głowę na zewnątrz i po krótkiej naradzie przejął worek.

Gdy tajny dostawca oddalił się, dokończyłem.

- Widzi ojciec, nie pisałem słowa. Jestem z ojcem, nie przeciwko ojcu.

- Nie znoszę szpiegów, Joseph.

Księżyc wychynął spod obłoku, wpuszczając do pomieszczenia niebieskawą poświatę, w której nasze twarze nabrały szarej barwy. Ojciec wydał mi się nagle zbyt wysoki, zbyt chudy, jak znak zapytania nakreślony węglem na ścianie, niemal jak karykatura złego Żyda, którą naziści rozklejali na murach w naszej dzielnicy. Jego wzrok był tak żywy, że aż niepokojący. Uśmiechnął się.

- A zresztą, chodź!

Złapał mnie za rękę i zaprowadził w lewą część kaplicy, gdzie odsunął stary, sztywny od brudu dywanik. Na podłodze pojawił się uchwyty. Ojciec uniósł go. Otworzyła się kamienna płyta.

W głąb czarnego cielska ziemi prowadziły schodki. Na pierwszym czekała lampa oliwna.

Ojciec zapalił ją i powoli zagłębił się w podziemnej paszczy, nakazując mi iść za sobą.

- Co znajduje się pod kościołem, Joseph?

- Piwnica?

- Krypta.

Dochodziliśmy do ostatnich stopni. Z czeluści wionęła chłodna woń grzybów. Oddech ziemi?

- A co znajduje się w mojej krypcie?

- Nie wiem.

- Synagoga.

Zapalił kilka świec i zobaczyłem sekretną synagogę, którą urządził. Pod sukienką z bogato haftowanych tkanin przechowywał zwój Tory, długi pergamin pokryty świętym pismem. Zdjęcie Jerozolimy wyznaczało kierunek, w jakim należy się zwrócić przy modlitwie, gdyż przez to właśnie miasto modły idą do Boga.

Za nami na półkach piętrzyły się różne przedmioty.

- Co to jest?

- Moja kolekcja.

Wskazał na modlitewniki, mistyczne poematy, komentarze rabinów, siedmio- lub dziewięcioramienne świeczniki. Obok gramofonu leżały czarne ebonitowe krążki.

- Co to za płyty?

- Muzyka do modlitw, pieśni w jidysz. Wiesz, Joseph, kto był pierwszym kolekcjonerem w historii ludzkości?

- Nie.

- To był Noe.

- Bardzo dawno temu spadły na ziemię ulewne deszcze. Woda dziurawiła dachy, rozłupywała mury, niszczyła mosty, zatapiała drogi, przepelniała rzeki i strumienie. Olbrzymie powodzie zmyły wioski i miasta. Ludzie, którzy przeżyli, schowali się wysoko w górach, które z początku zapewniały im bezpieczne schronienie, ale pod wpływem wody zaczęły pękać, a później rozpadły się na kawałki. Pewien człowiek, niejaki Noe, przeczuł, że nasza planeta zostanie całkowicie pokryta wodą.

Wtedy założył swoją kolekcję. Z pomocą synów i córek starał się znaleźć po parze każdego żyjącego gatunku, lisa i lisicę, tygrysa i tygrysicę, bażanta i bażancicę, parę pajaków, strusiów, węży... pomijając tylko ryby i morskie ssaki, których pełno było we wzbierającym szybko oceanie. Jednocześnie zbudował ogromny statek i kiedy wody podniosły się dostatecznie, załadował nań wszystkie zwierzęta i pozostałych przy życiu ludzi. Arka Noego pływała przez wiele miesięcy bez celu po powierzchni olbrzymiego morza, jakim stała się ziemia. Potem deszcze ustały. Woda zaczęła powoli opadać. Noe obawiał się, że nie będzie mógł wyżywić mieszkańców swojej arki. Wypuścił gołębicę, która wróciła, niosąc w dziobie świeży listek drzewa oliwnego, oznaczający, że spośród fal wyłonił się wreszcie grzbiet gór. Wtedy zrozumiał, że osiągnął zamierzony cel: ocalić wszystkie boskie stworzenia.

- Dlaczego Pan Bóg nie ocalił ich sam? Nie zależało mu? Wyjechał na wakacje?

- Pan Bóg stworzył świat raz na zawsze. Wyposażył nas w instynkt i inteligencję, żebyśmy radzili sobie bez niego.

- Noe to księdza wzór?

- Tak. Podobnie jak on jestem kolekcjonerem.

W dzieciństwie mieszkałem w belgijskim Kongo, gdzie ojciec był urzędnikiem; biali tak bardzo gardzili czarnymi, że zgromadziłem kolekcję miejscowych wyrobów.

- Gdzie ona jest?

- W muzeum w Namur. Dzisiaj, dzięki malarzom, te rzeczy stały się nawet modne: nazywa się to „sztuką murzyńską”. Obecnie prowadzę dwie kolekcje: cygańską i żydowską. Zbieram wszystko, co Hitler chce unicestwić.

- Nie lepiej byłoby zabić Hitlera?

Nie odpowiadając, podprowadził mnie do stosu książek.

- Co wieczór zaszywam się tutaj, żeby rozmyślać nad żydowskimi księgami. A w dzień, w biurze, uczę się hebrajskiego. Nigdy nic nie wiadomo...

- Nie wiadomo czego?

- Jeżeli potop będzie trwał, jeżeli w całym kosmosie nie uchowa się ani jeden Żyd mówiący po hebrajsku, będę cię mógł tego języka nauczyć.

A ty przekażesz go innym.

Kiwnąłem głową. Dla mnie, zważywszy na późną godzinę i fantastyczną scenerię krypty, która w drżącym blasku świec mieniła się niczym jaskinia Ali Baby, była to bardziej zabawa niż rzeczywistość. Donośnym głosem wrzasnąłem, pełen zapału:

- Można by powiedzieć, że ojciec jest Noem, a ja ojca synem!

Wzruszony, przyklęknął przede mną. Czuję, że chce mnie pocałować, ale nie ma odwagi. To było miłe.

- Zawrzemy umowę, dobrze? Ty, Joseph, będziesz udawał, że jesteś chrześcijaninem, a ja będę udawał, że jestem Żydem. Ty będziesz chodził na mszę, na religię, będziesz się uczył historii Jezusa z Nowego Testamentu, a ja będę ci opowiadał Torę, Misznę, Talmud i razem będziemy rysowali hebrajskie litery. Zgoda?

- Zgoda!

- To jest nasz sekret, wielki sekret. Zdradzając go, moglibyśmy umrzeć. Przysięgasz, że dochowasz tajemnicy?

- Przysięgam.

Odtworzyłem skomplikowane ruchy, których nauczył mnie Rudi, i splunąłem na ziemię.

Począwszy od tej nocy, prowadziłem przy ojcu Ponsie drugie tajemne życie. Zataiłem przed Rudim moją nocną wyprawę i zadbałem, żeby mniej interesował się zachowaniem ojca Ponsa, kierując jego uwagę na Rosę, pomoc kuchenną, ładną i rezydentną szesnastolatkę, która pomagała intendentowi, Twierdziłem, że gapi się na Rudiego, ilekroć ten na nią nie patrzy.

Rudi wpadł w pułapkę po uszy i dostał obsesji na punkcie Rosy. Uwielbiał wzdychać do miłości będących poza jego zasięgiem.

W tym czasie uczyłem się hebrajskiego, który ma dwadzieścia dwie spółgłoski i dwanaście samogłosek, a przede wszystkim pod pozorami przestrzegania ustalonych reguł odkrywałem prawdziwe zasady rządzące internatem. Dzięki zawartemu w regulaminie trikowi ojciec Pons tak wszystko zorganizował, że przestrzegaliśmy szabat: w soboty odpoczynek był obowiązkowy.

Odrabiać lekcje i uczyć się mogliśmy dopiero w niedzielę po niesporach.

- Dla Żydów tydzień zaczyna się w niedzielę, a dla chrześcijan w poniedziałek.

- Dlaczego, ojczcze?

- W Biblii, którą powinni czytać zarówno Żydzi, jak chrześcijanie, powiedziane jest, że Pan Bóg, stwarzając świat, pracował sześć dni, a odpoczywał siódmego. Powinniśmy go naśladować.

Siódmym dniem, według Żydów, jest sobota.

Później chrześcijanie, pragnąc odróżnić się od Żydów, którzy nie chcieli uznać Jezusa za Mesjasza, ogłosili, że to niedziela.

- I kto ma rację?

- Czy to ważne?

- A Pan Bóg nie mógłby powiedzieć ludziom, co myśli?

- Ważne jest nie to, co Bóg myśli o ludziach, ale to, co ludzie myślą o Bogu.

- Taaaak... z tego, co widzę, Pan Bóg pracował przez sześć dni, ale potem spoczął na laurach!

Kiedy się oburzałem, ojciec wybuchał śmiechem. Bez przerwy próbowałem pomniejszać różnice między obydwoma religiami, żeby móc sprowadzić je do jednej; zawsze jednak przestrzegał mnie przed uproszczeniami.

- Joseph, chciałbyś wiedzieć, która z tych dwu religii jest prawdziwa. Żadna! Religia nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa, proponuje tylko pewien sposób życia.

- Jak mam szanować religie, skoro nie są prawdziwe?

- Jeśli będziesz szanował tylko prawdę, nie będziesz miał wiele do szanowania. Dwa plus dwa równa się cztery, to będzie jedyny obiekt twojego szacunku. Poza tym będziesz stykał się z rzeczami niepewnymi: uczucia, normy, wartości, wybory - to wszystko są konstrukcje delikatne i płynne. Nie ma w nich nic z matematyki. Szacunkiem darzy się nie to, co jest zatwierdzone, lecz to, co jest proponowane.

W grudniu ojciec prowadził podwójną grę, tak żebyśmy obchodzili jednocześnie chrześcijańskie święta Bożego Narodzenia i żydowskie święto Chanuki; dwoistości tej domyślały się tylko żydowskie dzieci. Z jednej strony świętowaliśmy narodziny Jezusa, ozdabialiśmy wiejską szopkę i braliśmy udział w nabożeństwach. Z drugiej, mieliśmy zajęcia w „pracowni produkcji świec”, gdzie uczyliśmy się robić knoty, wytapiać wosk, barwić go, formować świece; wieczorem zapalaliśmy nasze wyroby, stawiając je w oknach; chrześcijańskie dzieci otrzymywały w ten sposób nagrodę za swoje wysiłki, a my, dzieci żydowskie, mogliśmy po kryjomu spełnić rytuał Chanuki, Święta Świąteł, czasu zabaw i prezentów, kiedy trzeba dawać jałmużnę i o zmroku zapalać świece. My, dzieci żydowskie... Ilu nas było w Żółtej Willi? I którzy? Poza ojcem nikt tego nie wiedział.

Kiedy moje podejrzenia padały na jakiegoś kolegę, wzbraniałem sobie iść dalej. Kłamać i pozwalać, żeby kłamano. Tylko tak mogliśmy się uratować.

W 1943 roku policja kilkakrotnie nachodziła Żółtą Willę. Za każdym razem określona grupa wiekowa poddawana była kontroli tożsamości.

Prawdziwe czy fałszywe, nasze papiery spełniały swoje zadanie. Drobiazgowo przeszukiwanie szaf także nic nie dawało. Nikogo nie zatrzymano.

Jednak ojciec się niepokoił.

- Na razie to tylko belgijska policja, znam tych chłopaków, a jeśli nie ich, to przynajmniej ich rodziców; kiedy mnie widzą, nie śmiały zbytnio nalegać. Ale słyszałem, że Gestapo urządza niespodziewane naloty...

Niemniej jednak po każdym alarmie życie wracało do normy. Jedliśmy mało i źle: dania z kasztanów, ziemniaków, zupy, gdzie kawałki rzepy mogły bawić się w berka, na deser parujące mleko. My, mieszkańcy internatu, mieliśmy zwyczaj włamywać się do szafy tego, któremu listonosz przyniósł paczkę; w ten sposób zdobywaliśmy czasem pudełko ciastek, słoik konfitur lub miodu; trzeba je było czym prędzej pochłonąć, by z kolei ktoś inny ich nie zwinął.

Wiosną, podczas lekcji hebrajskiego, której udzielał mi w swym zamkniętym na dwa spusty gabinecie, ojciec Pons jakoś nie mógł się skoncentrować. Siedział ze zmarszczonym czołem i nawet nie słyszał moich pytań.

- Co ojcu jest?

- Zbliża się pora Pierwszych Komunii, Joseph.

Bardzo się niepokoję. Nie ma mowy, żeby żydowscy uczniowie, którzy są w wieku komunijnym, odbyli ją z chrześcijanami. Nie mam prawa tego zrobić. Ani wobec nich, ani wobec mojej religii.

To byłoby świętokradztwo. Jak ja z tego wybrnę?

Nie wahałem się ani chwili.

- Niech ksiądz zapyta Mademoiselle Marcelle.

- Czemu to mówisz?

- Jeśli ktoś gotów się poświęcić, żeby nie dopuścić do komunii, to chyba właśnie Psiakrew. No nie?

Uśmiechnął się na tę propozycję.

Następnego dnia zabrał mnie ze sobą do apteki w Chemlay.

- Co za milutki dzieciak - mruknęła Mademoiselle Marcelle na mój widok. - Masz, łap!

Rzuciła mi miodową pastylkę.

Podczas gdy moje zęby rozprawiły się ze smakołykiem, ojciec Pons wyłożył jej sytuację.

- Psiakrew, nie ma problemu, panie Pons.

Pomogę panu. Ilu ich jest?

- Dwunastu.

- Wystarczy, że powie pan, że są chorzy! Hop!

Pośle się ich do izby chorych.

Ojciec się namyślał. s , ? - Zauważą ich nieobecność. To, będzie wskazówka.

- Nie, jeśli ogłosi się epidemię... - , - Nawet wtedy. Będą się zastanawiać...

- To trzeba dodać jednego albo dwóch chłopaków poza wszelkim podejrzeniem. Na przykład syna burmistrza. Jeszcze lepiej syna Brognardów, tych kretynów, którzy postawili fotografię Hitlera na wystawie swojego sklepu z serami.

- Oczywiście! Tylko że nie tak łatwo sprawić, żeby czternastu chłopców nagle się rozchorowało...

- Tratatata, już ja się tym zajmę.

Co zrobiła Psiakrew? Pod pretekstem wizyty lekarskiej przyszła do izby chorych i zbadała grupę kandydatów na komunikantów. Dwa dni później, z brzuchami szarpanymi rozwolnieniem, syn burmistrza i syn Brognardów zostali w domu, nie mogąc udać się na lekcje. Psiakrew opisała symptomy ojcu, który poprosił dwunastu żydowskich chłopców, aby je symulowali.

Ponieważ komunია przewidziana była na następny dzień, dwunastu pseudochorych odesłano na trzy dni do infirmerii.

Uroczystość odbyła się w kościele w Chemlay, podniosłe nabożeństwo, w czasie którego organy huczały głośniej niż kiedykolwiek. Bardzo zazdrościłem moim kolegom w białych albach, że uczestniczą w tym spektaklu. W głębi duszy przyrzekłem sobie, że któregoś dnia

znajdę się na ich miejscu. Ojciec Pons na próżno uczył mnie Tory, nic nie wzruszało mnie bardziej niż katolicki obrządek z jego złoceniami, przepychem, muzyką i tym wielkim i niematerialnym Bogiem, który unosił się dobrotliwy pod sufitem.

Po powrocie do Żółtej Willi na skromny bankiet, który wydał nam się pantagrueliczny, tak bardzo byliśmy wygłodzeni, zaskoczony, ujrzałem pośrodku holu Mademoiselle Marcelle. Zobaczył ją także ojciec i zaraz zniknął z nią w gabinecie.

Tego samego wieczoru dowiedziałem się od niego o katastrofie, której cudem uniknęliśmy.

W czasie komunii Gestapo wdarło się do internatu. Naziści zapewne rozumowali tak samo jak ojciec Pons: nieobecność na ceremonii dzieci w wieku komunijnym demaskowała je.

Na szczęście Mademoiselle Marcelle trzymała wartę przed izbą chorych. Kiedy naziści z pustych sypialni wpadli na ostatnie piętro, zaczęła kasłać i pluć „w sposób odrażający”, według jej własnych słów. Gdy znało się wrażenie, jakie wywierała Psiakrew normalnie, strach było pomyśleć, co działo się, kiedy przesadzała. Nie sprzeciwiając się ich żądaniu, otworzyła drzwi do infirmerii, uprzedzając, że dzieci są okropnie zaraźliwe. Co rzekłszy, nieoczekiwanie kichnęła, rosząc twarze nazistów prysznicem płwocin.

Wycierając się nerwowo, gestapowcy pospiesznie zrobili w tył zwrot i opuścili internat.

Gdy czarne samochody odjechały, Mademoiselle Marcelle przez dwie godziny skręcała się ze śmiechu na łóżku w izbie chorych, co, według relacji moich kolegów, najpierw wywołało przerażenie, ale potem udzieliło się wszystkim.

Choć nic po sobie nie pokazywał, czułem, że ojciec Pons jest coraz bardziej zatroskany.

- Obawiam się rewizji osobistej, Joseph. Co zrobię, jeśli naziści każą wam się rozebrać, żeby wylapać obrzezanych?

Potaknąłem z miną oznaczającą, że podzielam jego zaniepokojenie. W rzeczywistości nie rozumiałem, o czym mówi. Obrzezani? Rudi, kiedy go o to zapytałem, zaczął chichotać z tym samym gulgotem, jaki wydawał z siebie, gdy mówił o pięknej Rosie - jakby tłukł workiem orzechów o swoją klatkę piersiową.

- Jaja sobie robisz! Nie wiesz, co to jest obrzezanie? Ale wiesz chyba, że ty też?

- Co ja?

- Jesteś obrzezany!

Rozmowa przybierała niezbyt zachęcający obrót: znowu przypisywano mi jakąś niezrozumiałą cechę! Jakby nie wystarczało, że jestem Żydem!

- Twój siusiak ma skórę, która nie dochodzi do samego końca.

- Oczywiście.



- A chrześcijanie mają skórę, która zwisa niżej. Nie widać okrągłego koniuszka.

- Jak u psów?

- Tak. Jak u psów.

- A więc to prawda, że należymy do innej rasy!

Ta informacja mnie załamiała: przyskały nadzieje, że zostanę chrześcijaninem. Z powodu kawałka skóry, którego nikt nie widzi, skazany byłem na to, że zawsze będę Żydem.

- Nie, głupku - wyjaśnił Rudi - to nie jest naturalne, chodzi o zabieg chirurgiczny: zrobiono ci to kilka dni po urodzeniu. Rabin odciął ci skórę.

- Dlaczego?

- Żebyś był taki jak twój ojciec.

- Dlaczego?

- Bo tak jest od tysięcy lat!

- Dlaczego?

To odkrycie mnie oszałamiało. Wieczorem zaszyłem się w kącie i przez długie minuty oglądałem swój wyrostek o delikatnej różowej skórze, co niczego mi nie wyjaśniło. Nie mogłem sobie wyobrazić, że ktoś może mieć inny. W następne dni, chcąc upewnić się, że Rudi nie kłamie, zaczynałem się w toalecie na dziedzińcu, spędzając przerwy na nieustannym myciu rąk nad umywalką; kątem oka próbowałem zobaczyć w sąsiednich pisuarach narządy moich kolegów w chwili, kiedy je wyciągali albo chowali do spodni! Bardzo szybko przekonałem się, że Rudi nie kłamał.

- Rudi, to przedziwne! U chrześcijan na końcu jest cienka skórka, ściągnięta i pomarszczona jak balon tam, gdzie robi się supełek. Poza tym to nie wszystko: siusianie zajmuje im więcej czasu, a potem jeszcze potrząsają siurkiem, jakby mu mieli za złe. Wymierzają sobie karę?

- Nie, otrząsają kropelki, zanim z powrotem naciągną skórę. Trudniej im zachować higienę.

Jeśli nie uważają, mogą złapać mnóstwo mikrobow, które śmierdzą i powodują ból.

- A jednak poluje się na nas? Czy ty to rozumiesz?

Zrozumiałem za to, jaki problem ma ojciec Pons. Pojąłem zasady, wedle których odbywaliśmy cotygodniowy prysznic: ojciec Pons przygotowywał i osobiście sprawdzał na apelu listy: zgodnie z nimi dziesięciu uczniów w różnym wieku przechodziło nago z szatni do wspólnej łazienki tylko pod jego nadzorem. Każda grupa była jednorodna. Nigdy żaden nie-Żyd nie miał możliwości zobaczyć Żyda i na odwrót, gdyż w każdym innym miejscu nagość była zakazana i karana. Od tej pory łatwo mogłem odgadnąć, kto ukrywa się w Żółtej Willi.

Wyciągnąłem też konsekwencje wobec siebie i zacząłem opróżniać pęcherz za zamkniętymi drzwiami, unikając jak ognia pisuarów. Próbowałem nawet skorygować operację, która mnie okaleczyła: w chwilach samotności naciągałem skórę, tak by odzyskała pierwotny wygląd i przykryła żołądek. Na próżno! Pod koniec każdego seansu podjeżdżała z powrotem do góry, a kolejne dni nie przynosiły żadnej widocznej poprawy.

- Co zrobimy, jeśli Gestapo każe wam się rozebrać, Joseph?

Dlaczego ojciec Pons wtajemniczał w te sprawy najmłodszego ze swoich wychowanków?

Uważał mnie za męniejszego od innych? Czuł potrzebę przerwania ciszy? Cierpiał, że sam jeden ma na barkach tak wielką odpowiedzialność?

- Co będzie, Joseph, jeśli Gestapo każe wam spuścić spodnie?

Odpowiedź omal nie zmiotła nas wszystkich w sierpniu 1943 roku. Szkoła, oficjalnie zamknięta, na lato przekształcona została w kolonię. Ci, którzy nie mieli przybranych rodzin, mieszkali w internacie aż do początku roku szkolnego. Zamiast czuć się opuszczeni, wiedliśmy iście królewski żywot: Żółta Willa należała do nas, pora obfitowała w owoce łagodzące trochę nasz ustawiczny głód. Wspierany przez kilku młodych seminarzystów ojciec Pons poświęcał nam swój czas. Na zmianę chodziliśmy na spacer, urządaliśmy ogniska, graliśmy w piłkę i oglądaliśmy filmy z Charlie Chaplinem rzucane na białe prześcieradło rozwieszane nocą w krytej części dziedzińca. Dyskretni przy naszych opiekunach, siebie nie musieliśmy się obawiać: wszyscy byliśmy Żydami. Wobec ojca czuliśmy bezgraniczną wdzięczność: trzeba było widzieć, z jakim zapamiętaniem uczestniczyliśmy w lekcjach religii, jedynych, jakie pozostały, z jakim entuzjazmem śpiewaliśmy na chwałę Bogu, z jakim zapalem, w deszczowe poranki, przygotowywaliśmy szopkę i figurki na Boże Narodzenie.

Pewnego dnia, kiedy po meczu piłki nożnej sportowcy spływali potem, ojciec zarządził natychmiastowy prysznic.

Starsi już byli po, średniaki też. Pozostawała grupa maluchów, do której należałem.

Krzyczeliśmy i brykaliśmy w strugach chłodnej wody, kiedy do szatni wkroczył niemiecki oficer.

Jasnowłosy oficer wszedł, dzieci skamieniały, głosy ucichły, ojciec Pons stał się bledszy od kafelków. Wszystko znieruchomiało, prócz wody, której strumienie, radosne i nieświadome niczego, nadal się na nas lały.

Oficer przyjrzał się nam badawczo. Niektórzy instynktownie zakryli sobie krocze w geście naturalnej wstydlivosti - zbyt późno, by nie stał się przyznaniem się do winy.

Woda wciąż ciekła. Cisza spływała grubymi kroplami potu.

Oficer odkrył naszą tożsamość. Szybki ruch źrenic wskazywał na to, że się zastanawia. Ojciec Pons postąpił krok naprzód i spytał łamiącym się głosem:

- Pan kogoś szuka?

Oficer po francusku przedstawił sytuację. Od rana jego oddział goni partyzanta, który, uciekając, przeskoczył przez mur parku; szukają więc u nas, gdzie intruz mógł się schronić.

- Widzi pan, że pańskiego uciekiniera tutaj nie ma - powiedział ojciec Pons.

- Widzę to, w rzeczy samej - odpowiedział z wolna oficer.

Znowu zapadła cisza, ciężka od obaw i grózb.

Zrozumiałem, że moje życie za chwilę się zakończy. Jeszcze kilka sekund i wyjdziemy stąd rzędem, nadzy, upokorzeni, by wsiąść do ciężarówki, która zawiezie nas nie wiadomo dokąd.

Na zewnątrz rozległy się kroki. Odgłos butów z cholewami. Fleki uderzające o bruk. Gardłowe krzyki.

Oficer w szarozielonym mundurze podbiegł do drzwi i uchylił je.

- Nie ma go tutaj. Szukajcie dalej. Schnell!

Drzwi się zamknęły i grupa się oddaliła.

Oficer spojrzał na ojca Ponsa, któremu drżały wargi. Część z nas zaczęła płakać. Ja szcząkałem zębami.

Zrazu pomyślałem, że oficer sięga do pasa po rewolwer. W rzeczywistości wyciągał portfel.

- Proszę - powiedział do ojca Ponsa, podając mu banknot - kupi pan dzieciom cukierki.

Ponieważ ojciec, osłupiały, nie reagował, oficer siłą wepchnął mu do ręki pięć franków, uśmiechnął się do nas, mrugając okiem, stuknął obcasami i wyszedł.

Jak długo trwała cisza po jego wyjściu? Ilu minut potrzeba nam było, by zrozumieć, że jesteśmy uratowani? Niektórzy nadal płakali, bo strach ich nie opuszczał; inni trwali nieruchomo, wylężnieni, oniemiali; jeszcze inni przewracali oczami, w których widniało pytanie: „Ty w to wierzysz, no, powiedz, wierzysz w to?”.

Ojciec Pons, blady jak papier, ze zbieleńcami wargami, runął na ziemię. Klęczał na mokrym cemencie i kiwał się w przód i w tył, mamrocząc jakieś zdania, z oczami utkwionymi w przestrzeń, strasznymi. Podbiegłem do niego i przycisnąłem do wilgotnego ciała opiekuńczym gestem, tak jak bym to zrobił z Rudim.

Usłyszałem wtedy zdanie, które powtarzał:

- Dzięki ci, Panie Boże. Dzięki ci, Panie Boże.

Za moje dzieci, dziękuję.

Potem odwrócił się do mnie, jakby dopiero zauważył moją obecność, i na dobre rozplakał się w moich ramionach.

Niektóre wzruszenia są tak silne, że - czy radosne, czy smutne - wytrącają nas z równowagi.

Ulga, jaką odczuł ojciec, udzieliła się i nam, tak że po kilku minutach wszyscy - dwunastu żydowskich chłopców, gołych jak ich Pan Bóg stworzył, i ksiądz w sutannie - przytuleni do siebie, mokrzy, wykończeni nerwowo, śmialiśmy się i płakali na przemian.

W następnych dniach wszystkich opanowała radość. Ojciec bez przerwy się uśmiechał. Wyznał mi, że to wydarzenie dodało mu otuchy.

- Myśli ojciec naprawdę, że to Pan Bóg nam pomógł?

Korzystałem z lekcji hebrajskiego, żeby zadawać dręczące mnie pytania. Ojciec spojrzał na mnie dobrotliwie.

- Nie, Joseph. Pan Bóg nie miesza się do takich rzeczy. Czuję się lepiej, bo reakcja tego niemieckiego oficera sprawiła, że odzyskałem trochę wiary w ludzi.

- Ja myślę, że to dzięki ojcu. Pan Bóg ma do ojca słabość.

- Nie pleć głupstw.

- Nie wierzy ojciec, że jeśli się żyje pobożnie, jeśli jest się dobrym Żydem albo dobrym chrześcijaninem, nic złego nie może się człowiekowi przytrafić?

- Skąd taki głupi pomysł?

- Z katechizmu. Ojciec Bonifacy...

- Stop! To niebezpieczna, bzdura! Ludzie wyrządzają sobie wzajemnie zło i Pan Bóg się do tego nie wtrąca. Stworzył ludzi wolnymi. A więc cierpimy i weselimy się niezależnie od naszych zalet czy wad. Co za okropną rolę chciałbyś przypisać Bogu? Czy choć przez chwilę możesz sobie wyobrazić, że kogoś, kto się wymyka nazistom, Pan Bóg kocha, a kogoś, kogo schwytali, nienawidzi? Pan Bóg nie miesza się do naszych spraw.

- Chce ojciec powiedzieć, że cokolwiek się zdarza, Pan Bóg ma to w nosie?

- Chcę powiedzieć, że cokolwiek się zdarza, Pan Bóg zakończył swoje zadanie. Teraz kolej na nas. Odpowiadamy za siebie.

Zaczął się następny rok szkolny.

Z Rudim byliśmy sobie coraz bardziej bliscy.

Różniło nas wszystko - wiek, wzrost, kłopoty, podejście do życia - ale każda z tych różnic, zamiast nas dzielić, pozwalała nam odczuć, jak bardzo się lubimy. Ja pomagałem mu uporządkować bezładne myśli, on bronił mnie przed bójkami swoją posturą, a zwłaszcza reputacją złego ucznia. „Nic nie można z niego wydobyć - powtarzali profesorowie - nigdy

jeszcze nie spotkaliśmy takiej zakutej pały”. Całkowita nieprzemakalność Rudiego na naukę budziła nasz podziw.

Z nas zawsze udawało się nauczycielom „coś wydobyć”, jak to bywa z naturami podłymi, zepsutymi, podejrzanie skorymi do kompromisów.

Z Rudim nie wychodziło im nic. Nieuk doskonały, całkowity, modelowy, niereformowalny, stawiał im bezwzględny opór. Stopniowo stał się bohaterem tej drugiej wojny, wojny uczniów z belframami. A sankcje dyscyplinarne spadały na niego tak często, że jego głowę otaczał dodatkowy nimb: aureola męczeństwa.

Któregoś popołudnia, kiedy siedział zamknięty w klasie, podając mu przez okno ukradziony kawałek chleba, spytałem, dlaczego, nawet ukarany, nadal jest spokojny, niezłomny i wciąż odmawia nauki. Odpowiedział mi szczerze:

- Jest nas w rodzinie siedem osób: rodzice i pięcioro dzieci. Wszyscy oprócz mnie to intelektualiści. Ojciec adwokat, matka, słynna pianistka, grywa z najlepszymi orkiestrami, bracia i siostry w wieku dwudziestu lat mieli już wszyscy dyplomy. Same tęgie głowy... I wszyscy aresztowani! Wywiezieni ciężarówkami! Nie sądzili, że to może ich spotkać, dlatego się nie schowali.

Tacy szacowni, tacy inteligentni ludzie. Ja się uratowałem, bo nie było mnie ani w szkole, ani w domu! Włączyłem się po ulicach. Ocalałem, bo byłem na wagarach... Tak, że nauka...

- Uważasz, że źle robię, odrabiając lekcje?

- Nie, ty nie, Joseph. Stać cię na to, a poza tym masz jeszcze życie przed sobą...

- Rudi, nie masz nawet szesnastu lat...

- Tak, jest już za późno...

Mimo że nie powiedział nic więcej, zrozumiałem, że jest wściekły na swoją rodzinę. Bo chociaż zniknęli, chociaż do nas nie pisywali, rodzice wciąż odgrywali dużą rolę w naszym życiu w Żółtej Willi. Ja miałem do swoich pretensje!

O to, że są Żydami, że mnie zrobili Żydem, że narazili nas na niebezpieczeństwo. Dwie nieodpowiedzialne istoty! Mój ojciec? Niedołęga. Matka? Ofiara. Ofiara tego, że poślubiła mojego ojca, że nie wyczuła jego słabości, że sama jest tylko czułą i oddaną kobietą. Gardziłem matką, wybaczałem jej jednak, gdyż nie mogłem przestać jej kochać. Za to wrzała we mnie solidna nienawiść do ojca. Zmusił mnie, żebym był jego synem, a nie potrafił zapewnić mi godziwego losu. Dlaczego nie byłem synem ojca Ponsa?

W listopadowe popołudnie 1943 roku siedzieliśmy z Rudim na gałęzi starego dębu górującego nad okolicą, która rozciągała się przed naszymi oczami, i szukaliśmy dziupli z zimującymi wiewiórkami. Nasze stopy dotykały niemal wysokiego muru, który okalał park;

gdybyśmy chcieli, mogliśmy uciec: skoczyć na ścieżkę biegnącą wzdłuż muru i wziąć nogi za pas. Ale dokąd byśmy poszli? Nic nie zapewniało nam takiego bezpieczeństwa jak Żółta Willa. Ograniczaliśmy nasze przygody do jej obrębu. W czasie gdy Rudi wspinał się wyżej, siedziałem na pierwszym rozgałęzieniu i nagle wydało mi się, że widzę swojego ojca.

Drogą jechał traktor. Za chwilę miał przejechać koło nas. Kierował nim mężczyzna. Choć pozbawiony brody i ubrany jak wieśniak, był wystarczająco podobny do mojego ojca, żebym go rozpoznał. No i rozpoznałem go.

Siedziałem jak sparalizowany. Nie chciałem tego spotkania. „Oby mnie nie zobaczył!” Wstrzymałem oddech. Traktor zaterkotał pod drzewem i pojechał dalej. „Uff, nie zobaczył mnie!” A przecież był w odległości tylko dziesięciu metrów, mogłem jeszcze zawołać go, dogonić.

Zaschło mi w ustach; wstrzymując oddech, czekałem, aż pojazd stanie się maleńki i niesłyszalny z oddali. Kiedy już byłem pewny, że zniknął, wróciłem do życia:, wypuściłem powietrze z płuc, zamrugałem oczami, otrząsnąłem się.

Rudi wyczuł moje zmieszanie.

- Co ci jest?

- Zdawało mi się, że na traktorze widzę kogoś, kogo znam.

- Kogo?

- Mojego ojca.

- Coś ty, Joseph, to niemożliwe!

Potrząsnąłem głową, żeby przegnać te głupie myśli.

- Jasne, że to niemożliwe...

Pragnąc, by Rudi się nade mną użalił, zrobiłem minę zawiedzionego dziecka. W rzeczywistości cieszyłem się, że uniknąłem spotkania z ojcem. Zresztą, czy to był on? Rudi pewnie miał rację. Czyżbyśmy mieszkali o kilka kilometrów od siebie, nic o tym nie wiedząc? Nieprawdopodobne! Wieczorem byłem już przekonany, że mi się przywidziało. I wymazałem ten epizod z pamięci.

Po wielu latach dowiedziałem się, że tym, kto przejeżdżał wtedy tak blisko mnie, był faktycznie mój ojciec. Ojciec, którego odrzucałem, którego chciałem mieć daleko od siebie, nieobecnego albo martwego... Ta umyślna pomyłka, ta potworna reakcja, chociaż próbuję ją usprawiedliwić swoją ówczesną wrażliwością i popłochem, to czyn, którego zawsze będę się wstydzić, i ten wstyd będzie mnie palił do ostatniego tchnienia.

Kiedy spotykaliśmy się w tajemnej synagodze, ojciec Pons przekazywał mi wiadomości o wojnie.

- Odkąd wojska niemieckie ugrzęzły w Rosji i Amerykanie wkroczyli do walki, myślę, że Hitler przegra. Ale za jaką cenę? Tutaj naziści są coraz bardziej nerwowi, tropią partyzantów z niezwykle zaciętością, gotowi na wszystko. Bardzo się o nas boją, Joseph, bardzo.

Czuł w powietrzu zagrożenie, jak pies wyczuwa wilka.

- Niech się ojciec nie martwi, wszystko będzie dobrze. Pracujmy dalej.

Wobec ojca Ponsa tak samo jak wobec Rudiego zachowywałem się opiekuńczo. Kochałem ich tak bardzo, że aby się nie niepokoili, okazywałem niezachwiany i kojący optymizm.

- Proszę mi bliżej wyjaśnić, jaka jest różnica między Żydem a chrześcijaninem.

- Żydzi i chrześcijanie wierzą w tego samego Boga, tego, który podyktował Mojżeszowi Tablicę Prawa. Z tym że Żydzi nie uznają w Jezusie zapowiadanego Mesjasza, wysłannika Bożego, na którego przyście czekali; widzą w nim jedynie kolejnego mądrego Żyda. Stajesz się chrześcijaninem, kiedy uznajesz, że to Jezus jest Synem Bożym, że w niego wcielił się Bóg, że umarł i zmartwychwstał.

- A więc dla chrześcijan to coś, co się już odbyło; dla Żydów to coś, co ma dopiero nastąpić.

- Tak, Joseph. Chrześcijanie to ci, którzy pamiętają, a Żydzi to ci, którzy wciąż mają nadzieję.

- A więc chrześcijanin to Żyd, który przestał czekać?

- Tak. A Żyd to chrześcijanin sprzed Jezusa.

Bardzo bawiło mnie, kiedy myślałem o sobie jako o „chrześcijaninie sprzed Jezusa”. Między katolickim katechizmem a potajemnym studiowaniem Tory, historia święta bardziej zajmowała mój umysł niż bajki dla dzieci wypożyczone z biblioteki: była bardziej krwista, bardziej intymna, bardziej konkretna. W końcu chodziło o moich przodków, Mojżesza, Abrahama, Dawida, Jana Chrzciciela czy Jezusa! W moich żyłach płynęła zapewne krew jednego z nich. Poza tym ich życie było ciekawe, tak samo jak moje: bili się, krzyczeli, płakali, śpiewali, w każdej chwili ryzykowali, że zginą. Nie śmiałem przyznać się ojcu Ponsowi, że włączyłem go do tej historii. Nie mogłem wyobrazić sobie Poncjusza Piłata, rzymskiego prefekta, który umywał ręce, inaczej niż pod jego postacią: wydawało mi się normalne, że ojciec Pons był tam, w Ewangeliach, blisko Pana Jezusa, pomiędzy Żydami a przyszłymi chrześcijanami, zakłopotany pośrednik, uczciwy człowiek, który nie wie, co wybrać.

Czułem, że ojciec Pons przejęty jest studiami, do których zmuszał się ze względu na mnie. Jak wielu katolików słabo znał Stary Testament i teraz był zachwycony, że go odkrywa podobnie jak niektóre komentarze rabiniczne.

- Joseph, bywają dni, kiedy zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybym był Żydem - mówił z oczyma błyszczącymi podnieceniem.

- Nie, ojcze, niech ojciec pozostanie chrześcijaninem, to wielkie szczęście.

- Religia żydowska kładzie nacisk na szacunek, chrześcijańska na miłość. Zadaję sobie pytanie: czy szacunek nie jest ważniejszy od miłości? A także łatwiejszy do zastosowania... Kochać swojego nieprzyjaciela, jak proponuje Jezus, i nadstawiać drugi policzek, uważam, że to godne podziwu, ale trudne do wykonania. Zwłaszcza w tej chwili. Nadstawiłbyś drugi policzek Hitlerowi, powiedz?

- Nigdy!

- Ja też nie! To prawda, że nie jestem godny Chrystusa. Życia mi nie starczy, by go naśladować... Ale czy miłość może być obowiązkiem? Czy można rozkazywać sercu? Nie sądzę. Według wielkich rabinów szacunek jest lepszy od miłości. Jest trwałym zobowiązaniem. To mi się wydaje możliwe. Mogę szanować tych, których nie lubię, lub tych, którzy są mi obojętni. Ale kochać?

Zresztą czy muszę ich kochać, skoro ich szanuję? Miłość to trudna rzecz, nie można jej wywołać ani kontrolować, ani też zmusić, aby trwała.

Tymczasem szacunek...

Drapał się po gładkiej czaszce.

- Zastanawiam się, czy my, chrześcijanie, nie jesteśmy tylko sentymentalnymi Żydami...

Tak płynęło moje życie, którego rytm wyznaczała nauka, wzniosłe rozważania nad Biblią, lęk przed nazistami, przemarsze coraz liczniejszych i coraz śmielszych partyzantów, zabawy z kolegami i spacer z Rudim. Bombardowania nie oszczędzały Chemlay, jednak angielscy lotnicy omijali Żółtą Willę, ponieważ była oddalona od dworca i powiewała nad nią flaga Czerwonego Krzyża, którą ojciec Pons przezornie umieścił na szczycie piorunochronu. Choć może się to wydać dziwne, lubiłem te alarmy: nie schodziłem do schronów z kolegami, lecz w towarzystwie Rudiego obserwowałem spektakl z dachu. Maszyny Royal Air Force latały tak nisko, że mogliśmy widzieć pilotów i przysyłać im przyjazne znaki.

W czasie wojny największym niebezpieczeństwem jest przyzwyczajenie. A zwłaszcza przyzwyczajenie do niebezpieczeństwa.



Ponieważ w Chemlay dziesiątki ludzi w podziemiu stawiały czoło nazistowskiemu okupantowi i z czasem zaczęły go lekceważyć, zapowiedź desantu w Normandii drogo nas kosztowała.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że oddziały amerykańskie, liczne i dobrze uzbrojone, wkroczyły na ląd, wpadliśmy w euforię. Nie mogliśmy o tym mówić, ale uśmiech opromieniał wszystkie twarze. Ojciec Pons unosił się nad ziemią, niczym Jezus na falach, radość biła mu z czoła.

Owej niedzieli nie mogliśmy się doczekać, kiedy pójdziemy na mszę, pilno nam było podzielić się radością z tego prawie zwycięstwa - choćby spojrzeniem - z mieszkańcami wioski. Uczniowie ustawili się w pary na dziedzińcu piętnaście minut przed czasem.

Po drodze odświętnie ubrani wieśniacy mrugali do nas porozumiewawczo. Jakaś pani wręczyła mi czekoladę. Inna wcisnęła w rękę pomarańczę. Jeszcze inna wsunęła mi do kieszeni kawałek ciasta.

- Dlaczego zawsze Joseph? - mruknął jeden z kolegów.

- Normalne, jest najładniejszy! - odkrzyknął Rudi z daleka.

Dobrze się składało: miałem brzuch ustawicznie pusty, tym bardziej, że właśnie intensywnie rosłem.

Czekałem na moment, kiedy będziemy przechodzić koło apteki, bo nie wątpiłem, że Mademoiselle Marcelle, która wraz z ojcem Ponsem uratowała tyle dzieci, nie będzie się posiadała ze szczęścia. Może nawet z radości rzuci mi kilka karmelków?

Tymczasem wystawę zasłaniała żelazna krata.

Nasza grupa dotarła na miejsce wcześniej i tu, przed kościołem, wszyscy stanęli jak wryci.

Przez szeroko otwarte wrota dochodziła marsowa muzyka dobywająca się z huczących pełną parą organów. Ze zdumieniem rozpoznałem melodię: Brabanconne! Tłum stał, kompletnie osłupiały. Grać Brabanconne, nasz narodowy hymn, pod nosem nazistów, to była najwyższa zniewaga. To było tak, jakby się im mówiło: „Wynoście się, uciekajcie, przegraliście, jesteście niczym!”.

Kto zdobył się na takie zuchwalstwo?

Pierwsi, którzy ją zauważyli, szybko podali dalej: Psiakrew! Mademoiselle Marcelle, z rękami na klawiaturze, nogami na pedałach, po raz pierwszy w życiu znalazła się w kościele, żeby oznajmić nazistom, że przegrają wojnę.

Ogarnięci euforią i entuzjazmem, staliśmy wokół kościoła, jakbyśmy oglądali efektowny i niebezpieczny popis cyrkowy. Psiakrew grała nadspodziewanie dobrze, dużo lepiej od anemicznego organisty, który obsługiwał nabożeństwa.

Pod jej palcami instrument brzmiał jak barbarzyńska orkiestra, złotoczerwona, z donośnymi blachami i mocnymi bębnami. Dźwięki docierały do nas z potężną siłą, od której drżała ziemia i trzęsły się szyby sklepów.

Nagle pisk opon. Przed kościołem zahamował czarny samochód i wyskoczyło z niego czterech osiłków.

Policjanci z Gestapo chwycili Mademoiselle Marcelle, która przestała grać, ale zaczęła im ubliżać:

- Już po was! Jesteście skończeni! Możecie mnie aresztować, to i tak niczego nie zmieni!

Nędznicy! Frajerzy! Impotenci!

Naziści wepchnęli ją brutalnie do auta i odjechali.

Ojciec Pons, bledszy niż kiedykolwiek, przeżegnał się. Ja zacisnąłem pięści, chciałem pobiec za samochodem, dogonić go, sprać tych łajdaków. Chwyciłem go za rękę - była lodowata.

- Niczego im nie powie, ojcze. Jestem pewien, że niczego im nie powie.

- Wiem, Joseph, wiem. Psiakrew jest najodważniejsza z nas wszystkich. Ale co oni jej zrobią?

Nie zdążyliśmy się doczekać odpowiedzi. Wieczorem Żółta Willa została zajęta przez Gestapo.

Mademoiselle Marcelle, chociaż torturowana, nie pisnęła słowa. Jednak naziści, przeszukując jej mieszkanie, wpadli na negatywy zdjęć zdobiących nasze fałszywe papiery.

Byliśmy zdemaskowani. Nie trzeba było nawet ściągać spodni. Wystarczyło, że otworzą nasze paszporty, żeby rozpoznać oszustów.

W dwadzieścia minut wszystkie żydowskie dzieci z Żółtej Willi zgromadzono w jednej sypialni.

Naziści nie posiadali się z radości. My umieraliśmy z przerażenia. Zdjęty trwogą nie mogłem zebrać myśli. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, posłusznie wypełniałem polecenia.

- Pod ścianę, z rękami w górze. Szybko!

Rudi wśliznął się koło mnie, ale to mnie nie uspokoiło: oczy miał wytrzeszczone ze strachu.

Ojciec Pons wkroczył do akcji.

- Panowie, jestem oburzony: nie wiedziałem, kim są te dzieci! Nie przyszło mi do głowy, że mogą być Żydami. Przyprawiono je do mnie jako Aryjczyków, prawdziwych Aryjczyków. Zostałem oszukany, zakpiono sobie ze mnie, nadużyto mojej łatwowierności.

Szef gestapowców zapytał go brutalnie:

- Kto przyprowadził księdzu te dzieci?

Ojciec Pons zawahał się. Upłynęło dziesięć długich sekund.

- Nie będę pana okłamywał: wszyscy, którzy się tutaj znajdują, zostali przyprowadzeni przez Mademoiselle Marcelle, aptekarkę.

- To księdza nie zdziwiło?

- Zawsze mi powierzała sieroty. Od piętnastu lat. Na długo przed wojną. To dobra osoba. Związana była z grupą wolontariuszy, którzy działają na rzecz nieszczęśliwych dzieci.

- A kto płacił ich chesne?

Ojciec zrobił się trupio blady.

- Co miesiąc na nazwisko każdego dziecka przychodziły koperty. Możecie panowie sprawdzić w księgowości.

- Skąd pochodzą te koperty?

- Od mecenasów... Bo niby od kogo? Wszystko jest zapisane w naszych księgach. Znajdziecie w nich informacje.

Naziści mu wierzyli. Ich szef aż ślinił się na myśl, że położy łapę na tych listach. Nagle ojciec zaatakował, nie tracąc ducha.

- Dokąd ich zabieracie?

- Do Malines.

- To nie jest księdza sprawa!

- To będzie długa podróż?

- Na pewno.

- W takim razie pozwólcie mi przygotować ich rzeczy, spakować walizki, ubrać ich, dać im jedzenie na drogę. Moi synowie, nie można w ten sposób traktować dzieci. Gdybyście dali mi pod opiekę swoje, czy chcielibyście, żebym je tak wypuścił?

Szef o tłustych dłoniach wahał się. Ojciec wykorzystał tę słabość:

- Wiem, że nie życzy im pan źle. Więc zrobmy tak: ja wszystko przygotuję, a pan przyjdzie po nich o świcie.

Wciągnięty w ten uczuciowy szantaż, zakłopotany naiwnością księdza, szef Gestapo zapragnął udowodnić mu, że nie jest złym człowiekiem.

- Jutro rano punktualnie o siódmej umyć, ubrać, nakarmieni będą stać rzędem na dziedzińcu ze swoim ekwipunkiem - łagodnie nalegał ojciec Pons. Proszę nie robić mi przykrości.

Zajmuję się nimi od lat: kiedy ktoś powierza mi dziecko, może na mnie liczyć.

Szef Gestapo zerknął na trzydziestu żydowskich chłopców w koszulach nocnych, przypomniał sobie, że ciężarówkę będzie miał dopiero nazajutrz, pomyślał, że chce mu się spać, wzruszył ramionami i mruknął:

- No dobrze, liczę na księdza.

- Słusznie, mój synu. Idźcie w pokoju.

Ubrani na czarno ludzie z Gestapo opuścili internat.

Kiedy ojciec upewnił się, że są daleko, zwrócił się do nas.

- Dzieci, żadnych krzyków, żadnej paniki: idźcie po cichu po swoje rzeczy i ubierzcie się. Potem uciekniecie.

Długie westchnienie ulgi wyrwało się z wszystkich piersi. Ojciec Pons wezwał wychowawców z innych sypialni, pięciu młodych seminarzystów, i zamknął ich z nami w jednej sali.

- Synowie, jesteście mi potrzebni.

- Może ojciec na nas liczyć.

- Chcę, żebyście kłamali.

- Ale...

- Musicie kłamać. W imię Chrystusa. Jutro powiecie Gestapo, że zamaskowani partyzanci wtargnęli do Willi wkrótce po ich odejściu. Zapewnacie, że stoczyliście z nimi walkę. Zresztą znajdą was przywiązanych do tych łóżek na dowód waszej niewinności. Godzicie się, żebym was przywiązał?

- Może nawet ojciec zadać nam parę ciosów.

- Dziękuję wam, synowie. Nie mam nic przeciwko ciosom, pod warunkiem, że sami je sobie wymierzycie.

- A ojciec? Co się z ojcem stanie?

- Nie mogę z wami zostać. Jutro Gestapo już mi nie uwierzy. Będzie potrzebowało winnego.

Ucieknę więc razem z dziećmi. Oczywiście wyjawicie, że to ja zawiadomiłem partyzantów, moich współników.

Chwilę później odbył się najbardziej niewiarygodny spektakl, jaki dane mi było widzieć: młodzi seminarzyści zaczęli się napażać - sumiennie, rzetelnie, precyzyjnie, a to po nosie, a

to po twarzy, a to po oczach, a każdy domagał się od kolegi więcej, jeśli uważał, że nie jest jeszcze dość okaleczony. Potem ojciec Pons przywiązał ich solidnie do nóg łóżek i każdemu wepchnął do ust szmatę.

- Możecie oddychać?

Seminarzyści kiwnęli głowami- Niektórzy z nich mieli opuchnięte twarze, inni zakrwawione nosy, wszyscy łązy w oczach.

- Dziękuję wam, moi synowie - powiedział ojciec Pons. - A żeby wytrzymać do rana, myślcie o naszym Panu Jezusie Chrystusie.

Następnie sprawdził, czy zabieramy lekki bagaż, i w największej ciszy sprowadził nas na dół po schodach, a potem wypuścił tylnymi drzwiami.

- Dokąd idziemy? - zapytał szeptem Rudi.

Choć byłem niewątpliwie jedynym, który miał o tym jakieś pojęcie, nie odpowiedziałem.

Przeszliśmy przez park aż na polankę. Tu ojciec nas zatrzymał.

- Moje dzieci, pomyślcie, że zwariowałem, ale trudno: dalej nie idziemy!

Wyłożył nam swój plan i spędziliśmy resztę nocy na wprowadzaniu go w życie.

Połowa z nas poszła odpocząć w krypcie kaplicy. Druga połowa - w której się znalazłem przez następne godziny zacierała prawdziwe ślady i tworzyła w ich miejsce fałszywe. Ziemia, przesiąknięta niedawnym deszczem, z pluskiem zapadała się pod nogami: nie było nic łatwiejszego niż zostawić w niej piękne ślady.

Nasza grupa przeszła więc przez polankę i wyszła z parku przez furtkę w murze. Potem, deptając piętami grząski grunt, łamiąc gałązki, gubiąc nawet rozmyślnie kilka przedmiotów, przemaszzerowaliśmy przez pola aż do rzeki. Tam ojciec zaprowadził nas na przystań.

- Proszę, pomyślą, że czekał tu na nas statek...

A teraz, dzieci, przejdźmy tę samą trasę, ale tyłem, tak by stworzyć wrażenie, że było nas dwa razy tyle i nie zostawić ani jednego śladu w drugą stronę.

Powrót był wolny, pracowity; ślizgaliśmy się; wysiłek dołączał się do strachu i zmęczenia. Na polanie pozostało nam jeszcze dokonać najtrudniejszego: zatrzeć ślady naszych kroków w stronę opuszczonej kaplicy, smagając wilgotny teren listowiem.

Świtało, kiedy dołączyliśmy do kolegów śpiących w głębi krypty. Ojciec Pons starannie zamknął za nami drzwi i włąz, zapalając tylko jedną, skąpo świecącą świeczkę.

- Spijcie, dzieci. Dziś rano nie będzie pobudki.

Niedaleko od miejsca, gdzie osunąłem się na ziemię, wygospodarował sobie przestrzeń między stosami książek, które ustawił wokół siebie jak mur z cegieł. Kiedy mnie spostrzegł, spytałem:

- Mogę przyjść do pokoju ojca?

- Dobrze, chodź, Joseph.

Prześliznąłem się do niego i oparłem policzek na jego chudym ramieniu. Ledwie poczułem na sobie jego rozczulone spojrzenie, jak zasnąłem.

Rankiem Gestapo wkroczyło do Żółtej Willi, wpadło na związanych seminarzystów, stwierdziło, że to skandal, poszło po fałszywych śladach aż do rzeki i szukało nas jeszcze dalej: nikomu nie przyszło do głowy, że nie uciekliśmy.

Dla ojca Ponsa nie było już mowy, żeby pokazał się na powierzchni. Nie było też mowy, żebyśmy długo pozostawali w tajemnej synagodze urządzonej pod kaplicą. Byliśmy wciąż przy życiu, ale to życie teraz stwarzało problemy: z mówieniem, jedzeniem, siusianiem, załatwianiem się. Nawet sen nie stanowił schronienia, gdyż spaliśmy bezpośrednio na ziemi i każdy w innym czasie.

- Widzisz, Joseph - mówił z humorem ojciec Pons - podróż arką Noego nie była pewnie zbyt zabawna.

Wkrótce partyzanci z miejscowej siatki zaczęli zabierać nas po kolei, żeby ukryć gdzie indziej.

Rudi poszedł jako jeden z pierwszych. Pewnie dlatego, że zajmował za dużo miejsca. Ojciec Pons nigdy nie wskazywał mnie towarzyszom, którzy po nas przychodzili. Czy było to zamierzone?

Ośmielałem się wierzyć, że chce zatrzymać mnie przy sobie jak najdłużej.

- Może alianci wygrają szybciej, niż myślimy?

Może wkrótce będziemy wyzwoleni? - mówił, mrugając do mnie.

Wykorzystał te tygodnie, żeby pogłębić ze mną znajomość żydowskiej religii.

- Wasze życie to coś więcej niż zwykłe życie, niesie w sobie przekaz. Nie pozwolę, żeby was eksterminowano.

Któregoś dnia, kiedy było nas w krypcie już tylko pięciu, pokazałem mu trzech uśpionych towarzyszy.

- Widzi ksiądz, nie chciałbym umrzeć razem z nimi.

- Dlaczego?

- Bo nawet jeśli żyję blisko nich, nie są moimi przyjaciółmi. Co mam z nimi wspólnego? Tylko to, że jesteśmy ofiarami.

- Dlaczego mi to mówisz, Joseph?

Oparłem głowę na jego kolanach i zwierzyłem się z nurtujących mnie myśli.

- Wolałbym umrzeć razem z ojcem, dlatego że ojca lubię. Wolałbym umrzeć z ojcem, bo nie chcę ojca opłakiwać ani tym bardziej, żeby ojciec mnie opłakiwał. Wolałbym umrzeć razem z ojcem, bo wtedy byłby ojciec ostatnią osobą, jaką widzę. Wolałbym umrzeć razem z ojcem, bo w niebie bez ojca nie będzie mi się podobać, a nawet będę się bał.

W tej samej chwili w drzwi kaplicy gruchnęły okrzyki.

- Bruksela wyzwolona! Wygraliśmy! Bruksela wyzwolona przez Anglików!

Ojciec Pons skoczył na równe nogi i chwycił mnie w ramiona.

- Wolni! Słyszysz, Joseph? Jesteśmy wolni!

Niemcy się wycofują!

Pozostałe dzieci się obudziły.

Partyzanci wypuścili nas z krypty i zaczęliśmy się śmiać, biegać i skakać po ulicach Chemlay.

Z domów dobiegały okrzyki radości, karabiny strzelały w niebo, w oknach wywieszano flagi, tańczono, wyciągano butelki alkoholu ukrywane przez pięć lat.

Aż do wieczora tkwiłem w objęciach ojca.

Omawiając wydarzenia z każdym mieszkańcem wioski, płakał z radości. Ocierałem mu łzy rękami. Ponieważ był to dzień wesela, wolno mi było mieć dziewięć lat, siedzieć jak dziecko na ramionach człowieka, który mnie uratował, wolno mi było całować jego różowe i słone policzki, wolno mi było głośno zaśmiewać się bez powodu. Aż do wieczora, promienny i szczęśliwy, nie rozstawałem się z nim. Mimo że byłem ciężki, ani razu się nie poskarżył.

- Wojna się wkrótce skończy!

- Amerykanie zbliżają się do Liege.

- Wiwat Amerykanie!

- Wiwat Anglicy!

- Wiwat my!

- Hurra!

Od tego 4 września 1944 roku zawsze wierzyłem, że Bruksela dlatego została wyzwolona, że nagle, bez ogródek, wyznałem miłość ojcu Ponsowi. To naznaczyło mnie na zawsze. Od tamtej pory, ilekroć deklarowałem swoje uczucia jakiejś kobiecie, oczekiwałem, że zaraz zaczną wybuchać petardy, a w oknach pojawiają się flagi.

Dni, które nastąpiły, okazały się w naszej okolicy bardziej niebezpieczne i krwawe niż okres wojny. W czasie okupacji wróg był wyraźnie widoczny, a więc stale o nim pamiętano; w czasie wyzwolenia ciosy padały to stąd, to stamtąd, niespodziewane, niemożliwe do przewidzenia, i panował chaos. Po ponownym zakwaterowaniu dzieci w Żółtej Willi ojciec

Pons zabronił nam wychodzić poza obręb parku. Mimo to Rudi i ja nie mogliśmy się powstrzymać od włożenia na nasz dąb, którego gałęzie wystawały poza ogrodzenie. Przez prześwity między listowiem widać było nagą równinę ciągnącą się aż do odległych zagród. Mogliśmy stamtąd jeśli nie uczestniczyć w walkach, to przynajmniej śledzić ich echa.

W ten sposób w przejeżdżającym odkrytym samochodzie zobaczyłem niemieckiego oficera, który nas nie zadenuncjował - wtedy pod prysznicem - w samej koszuli, zakrwawionego, z opuchniętą twarzą i ogoloną głową, ściśniętego między uzbrojonymi wyzwolicielami, którzy wieźli go ku nie wiem jakiej zemście...

Z zaopatrzeniem wciąż były problemy. Żeby oszukać głód, szukaliśmy z Rudim na trawniku ciemnozielonej trawy, grubszej od innych, i rwaliśmy ją garściami, by potem wgryźć się w uzbierany pęczek. Była gorzka, ohydna, ale dawała wrażenie, że mamy pełne usta.

Stopniowo wracał porządek. Nie przynosił nam jednak dobrych wieści. Mademoiselle Marcelle, aptekarka, była bestialsko torturowana, zanim wywieziono ją na wschód. W jakim stanie wróci? I czy w ogóle wróci? Gdyż potwierdziły się podejrzenia z czasu wojny: naziści wymordowali jeńców w obozach koncentracyjnych. Miliony ludzkich istot zostało zmasakrowanych, zastrzelonych, zatrutych gazem, spalonych lub pogrzebanych żywcem.

Zacząłem znowu sikać w łóżko. Trwoga działała wstecz: przerażał mnie los, którego unikałem. Wstyd też działał wstecz: myślałem o ojcu, którego widziałem, a nie raczyłem zawołać. Lecz czy to na pewno był on? Czy jeszcze żył? A matka? Zacząłem ich znowu kochać miłością zwielokrotnioną przez wyrzuty sumienia.

W bezchmurne noce wymykałem się z sypialni, żeby wpatrywać się w niebo. Kiedy patrzyłem na „gwiazdę Josepha i mamusi”, reszta gwiazd znowu śpiewała w jidysz. Szybko wzrok mi się mącił, zaczynałem się dławić i z rozpostartymi ramionami, wrośnięty w trawnik, połykałem lzy i ciekące z nosa smarki.

Ojciec Pons nie miał już czasu, żeby dawać mi lekcje hebrajskiego. Miesiącami od rana do wieczora biegał, poszukując śladów naszych rodziców, przeglądając zaszyfrowane rejestry sporządzone przez ruch oporu, przywożąc z Brukseli listy zmarłych w czasie deportacji.

Do niektórych z nas wiadomość dotarła szybko: byli jedynymi, którzy przeżyli z całej rodziny. W przerwach między lekcjami pocieszaliśmy ich, zajmowaliśmy się nimi, jednak w duchu każdy się zastanawiał: czyja nie będę następny? Czy opóźnia się dobra wiadomość? Czy może bardzo zła?

Gdy fakty zajęły miejsce pełnych nadziei oczekiwań, Rudi uznał, że stracił swoich bliskich.



„Skoro jestem szlemiel, inaczej być nie może”.

I rzeczywiście, tydzień po tygodniu ojciec Pons wracał z posepnym potwierdzeniem, że jego starszy brat, potem pozostali bracia, potem siostry, potem ojciec zostali zagazowani w Auschwitz. Za każdym razem straszny ból przytłaczał mojego przyjaciela: godzinami leżeliśmy na trawie, z twarzami zwróconymi ku niebu pełnemu słońca i jaskółek, trzymając się za ręce. Wydaje mi się, że płakał, ale nie ośmielałem się na niego spojrzeć w obawie, że go upokorzę.

Któregoś wieczoru ojciec Pons wrócił z Brukseli z twarzą purpurową od szybkiego pedałowania i szybko podszedł do Rudiego.

- Rudi, twoja matka żyje. Przyjedzie do Brukseli w piątek z konwojem tych, co przeżyli.

W nocy Rudi szlochał tak strasznie, że bałem się, czy nie udusi się od łez, zanim zobaczy swoją matkę.

W piątek Rudi wstał przed świtem, żeby się umyć, ubrać i zapastować buty, przyjmując mieszczański styl, jakiego nigdy u niego nie widzieliśmy; z karbowanymi i wypomadowanymi włosami wyglądał tak niezwykle, że poznałem go dopiero po odstających uszach. Podekscytowany paplał bez ustanku, przeskakując od jednej myśli do drugiej, nie kończył zdań i zaraz zaczynał nowe.

Ojciec Pons, który pożyczył auto, zdecydował, że pojedę z nimi i tak, po raz pierwszy od trzech lat, opuściłem Żółtą Willę. Wobec radości Rudiego stłumiłem swój niepokój o los mojej własnej rodziny.

W Brukseli między szarymi fasadami unosił się drobny deszczyk, wodny pył, od którego nasze szyby zasnuwały się przejrzystą mgiełką, a trotuary lśniły. Gdy dotarliśmy do dużego bogatego budynku, gdzie zwożono ocalonych, Rudi rzucił się do dozorca w czerwono-złotym uniformie.

- Gdzie tutaj jest fortepian? Muszę zaprowadzić tam moją matkę. Jest wybitną pianistką. Wirtuozem. Daje koncerty.

Kiedy w barze znaleźliśmy długi lakierowany instrument, oznajmiono, że uratowani już przyjechali, poddano ich odwszeniu i dezynfekcji i teraz jedzą posiłek w restauracji.

Rudi pobiegł do sali, eskortowany przez ojca Ponsa i mnie.

Rachityczni mężczyźni i kobiety o szarej, przyschniętej do kości skórze, z takimi samymi workami pod takimi samymi pustymi oczami, wyczerpani tak, że z trudem trzymali sztuce, siedzieli pochyleni nad zupą. Nie zwrócili uwagi na nasze przyjście, skupieni na jedzeniu, zalęknieni, że ktoś im przeszkodzi.

Rudi przebiegł salę oczyma.

- Nie ma jej. Jest tu jakaś inna restauracja, ojczy?

- Zapytam - odpowiedział.

Z ławeczki odezwał się głos.

- Rudi!

Jakaś kobieta wstała i omal nie upadła, dając nam znak ręką.

- Rudi!

- Mama!

Rudi rzucił się ku niej, patrzącej z błaganiem w oczach, i mocno ją objął.

Nie rozpoznawałem w niej matki, którą opisywał mi Rudi, wysokiej, władczej kobiety, jak mówił, o majestatycznej piersi, stalowoniebieskich źrenicach, czarnych włosach bez końca, gęstych i mocnych, które budziły podziw publiczności. Zamiast tego całował małą staruszkę, prawie łysą, o nieruchomym bojaźliwym bladym spojrzeniu, której kościste ciało, szerokie i płaskie, rysowało się pod wełnianą sukienką.

Tymczasem oni szeptali sobie na ucho zdania w jidysz, płakali jedno drugiemu w szyję i doszedłem do wniosku, że jeśli Rudi nie pomylił się co do osoby, to na pewno upiększył swoje wspomnienia.

Chciał ją ze sobą zabrać.

- Chodź, mammo, w tym hotelu jest fortepian.

- Nie, Rudi, najpierw skończę to, co mam na talerzu.

- Daj spokój, mammo, chodź.

- Nie skończyłam marchewki - powiedziała, tupiąc nogą jak uparte dziecko.

Rudi osłupiał ze zdziwienia: miał przed sobą już nie władczą matkę, ale małą dziewczynkę pilnującą swojej miski. Ruchem dłoni ojciec Pons poradził mu, żeby się jej nie sprzeciwiać.

Skończyła zupę powoli, sumiennie, wytarła resztki kawałkiem chleba, aż talerz stał się nieskazitelnie czysty, obojętna na resztę świata. Wokół niej wszyscy ocaleni też zajęci byli jedzeniem. Od lat niedożywieni, teraz pochłaniali łapczywie.

Potem Rudi pomógł jej wstać, podając ramię, i przedstawił nas. Pomimo wyczerpania zdobyła się na uśmiech.

- Wie ksiądz - powiedziała do ojca Ponsa utrzymywałam się przy życiu tylko dlatego, że miałam nadzieję odnaleźć Rudiego.

Rudi zamrugnął powiekami i zmienił temat.

- Chodźmy do fortepianu, mammo.

Przemierzyliśmy salony wyglądające jak wyrzeźbione w bezie, przeszliśmy przez kilkoro drzwi przesłoniętych ciężkimi jedwabnymi kotarami, po czym Rudi posadził ją ostrożnie na taborecie i uniósł wieko instrumentu.

Spojrzała na fortepian ze wzruszeniem, potem z nieufnością. Czy jeszcze potrafi? Jej stopa przysunęła się do pedału, palce pogładziły klawisze.

Drżała. Bała się.

- Graj, mamó, graj! - szepnął Rudi.

Spłoszona, spojrzała na syna. Nie śmiała mu powiedzieć, że wątpi, czy jej się uda, czy będzie miała siłę, czy...

- Graj, mamó, graj. Ja też przetrwałem wojnę, myśląc, że któregoś dnia znowu dla mnie zagrasz.

- Zachwiała się, przytrzymała, obudowy, następnie spojrzała na klawiaturę jak na przeszkodę, którą musi pokonać. Jej dłonie zbliżyły się, nieśmiało, po czym miękko opadły na klawisze.

Rozległa się najśłodsza i najsmutniejsza melodia, jaką dane mi było słyszeć. Zrazu trochę chropawa, nierówna, potem bogatsza, pewniejsza, muzyka rodziła się, nasilała, rozwijała, upajająca, szalona.

Grając, matka Rudiego nabierała ciała. Rozpoznawałem teraz w kobiecie, którą widziałem, tę, którą opisywał mi Rudi.

Kiedy skończyła grać, zwróciła się do syna.

- Chopin - powiedziała cicho. - Nie przeżył tego, co my, a jednak wszystko przeczuł.

Rudi pocałował ją w szyję.

- Wrócisz do szkoły, Rudi?

- Przysięgam ci.

Przez następne tygodnie widywałem regularnie matkę Rudiego, którą pewna stara panna z Chemlay wzięła do siebie na stancję. Odzyskiwała kształty, kolory, włosy, autorytet, a Rudi, który chodził do niej wieczorami, przestał być niepoprawnym nieukiem, jakim znaliśmy go dotychczas, a nawet ujawnił zadziwiające zdolności matematyczne.

W niedzielę Żółta Willa stawała się miejscem zbiórki dzieci, które były ukrywane. Przyprawdzano z okolicy wszystkich w wieku od trzech do szesnastu lat, o których jeszcze nie upomnieli się bliscy. Pokazywali się na estradzie wzniesionej naprędce w krytej części dziedzińca. Ludzie przychodzili bardzo licznie, jedni, żeby odszukać syna czy córkę, inni bratanka czy siostrzenicę, jeszcze inni dalszych krewnych, za których teraz, po Zagładzie, czuli się odpowiedzialni. Zgłaszały się także pary gotowe adoptować sieroty.

Czekałem na te ranki, a jednocześnie się ich bałem. Za każdym razem, kiedy wchodziłem na estradę po ogłoszeniu mojego nazwiska, spodziewałem się usłyszeć krzyk - krzyk mojej matki. Za każdym razem, kiedy wracałem z powrotem pośród uprzejmej ciszy, miałem ochotę coś sobie zrobić.

- To moja wina, ojczy, że rodzice nie wracają: nie myślałem o nich w czasie wojny.

- Nie gadaj głupstw, Joseph. Gdyby twoi rodzice nie wrócili, to byłaby wina Hitlera i nazistów. Nie twoja ani moja.

- Nie chce ojciec przedstawić mnie do adopcji?

- Za wcześnie na to, Joseph. Bez papierka poświadczającego zgon najbliższych krewnych nie wolno mi tego zrobić.

- Zresztą i tak nikt mnie nie zechce!

- No, no, nie trać nadziei. Powinieneś ufać.

- Nie cierpię ufać. Czuję się dennie, kiedy ufam.

- Stań się bardziej pokorny i bądź dobrej myśli.

Tamtej niedzieli, po tradycyjnym targu sierocym, kolejny raz przegrany i upokorzony, postanowiłem towarzyszyć Rudiemu, który wybierał się z matką do wioski na herbatę.

Schodziliśmy drogą w dół, kiedy ujrzałem w dali dwie sylwetki wspinające się na zbocze.

Nie myśląc, rzuciłem się ku nim biegiem. Moje stopy nie dotykały ziemi. Mógłbym się wznieść w powietrze. Pędziłem tak szybko, że bałem się, by któraś z nóg nie oderwała się od bioder.

Nie rozpoznałem mężczyzny ani kobiety: rozpoznałem płaszcz matki. Szkocki płaszcz w różowo- zieloną kratę, z kapturem. Mamusiu! Nigdy nie widziałem nikogo innego, kto nosiłby taki szkocki płaszcz w różowo- zieloną kratę, z kapturem.

- Joseph!

Rzuciłem się na rodziców. Zdyszany, nie mogąc wymówić słowa, obmacywałem ich, dotykałem, przyciskałem do siebie, sprawdzałem, zatrzymywałem, nie odstępowałem na krok. Po sto razy powtarzałem te same bezładne gesty. Tak jest, czułem ich, widziałem ich, tak, żyli!

Byłem do bólu szczęśliwy.

- Joseph, mój Joseph! Miszke, widziałeś, jaki on piękny?

- Wyrosłeś, synu! Mówili jakieś rzeczy bez znaczenia, które sprawiały, że płakałem. Nie byłem w stanie wybąkać słowa. Trzy lata cierpienia - bo tyle trwała nasza rozłąka - zwały mi się na kark i rozłożyły mnie.

Z ustami otwartymi w długim niemym krzyku mogłem tylko szlochać.

Kiedy zdali sobie sprawę, że nie odpowiadam na żadne z ich pytań, matka zwróciła się do Rudiego.

- Mój Josephele jest za bardzo wzruszony, prawda?

Rudi potwierdził. Mama znowu mnie rozumiała i odgadywała moje myśli, co spowodowało dodatkowy napływ łez.

Minęła dobra godzina, a ja nie mogłem odzyskać mowy. Przez tę godzinę nie puszczałem ich, jedną ręką wczepiony w ramię ojca, drugą w dłoń matki. Przez tę godzinę dowiedziałem się, z tego, co opowiadali ojcu Ponsowi, jak udało im się przeżyć: ukrywali się niedaleko stąd, na dużej farmie, gdzie pracowali jako robotnicy rolni. Odnalezienie mnie zajęło im tak dużo czasu, bo kiedy wrócili do Brukseli, okazało się, że hrabia i hrabina de Sully gdzieś zniknęli, a partyzanci skierowali ich na fałszywy trop, który prowadził aż do Holandii.

Kiedy opowiadali o swoich przejściach, matka często odwracała się w moją stronę i gładziła mnie, mówiąc:

- Josephele, synku...

A ja byłem szczęśliwy, że znów słyszę jidysz, ten język tak czuły, że nie można nawet zwrócić się do dziecka po imieniu, nie dodając do tego pieszczoty, zdrobnienia, miłej dla ucha sylaby...

Powoli doszedłem do siebie i myślałem już tylko o tym, żeby oprowadzić ich po moim królestwie, Żółtej Willi i otaczającym ją parku, gdzie spędziłem takie radosne lata.

Kiedy skończyli opowiadać, nachylili się ku mnie:

- Zaraz wracamy do Brukseli. Mógłbyś pójść po swoje rzeczy? I wtedy odzyskałem mowę.

- Jak to? Nie mogę zostać tutaj?

Zapadła pełna konsternacji cisza. Matka zatrzepotała powiekami, niepewna, czy dobrze usłyszała, ojciec patrzył w sufit, zaciskając szczęki, a ojciec Pons wyciągnął do mnie szyję.

- Co ty powiedziałaś, Joseph?

Nagle uświadomiłem sobie, jak strasznie te słowa musiały zabrzmieć w uszach moich rodziców. Zalała mnie fala wstydu! Za późno! Mimo to powtórzyłem, licząc, że drugi raz wywrze lepsze wrażenie niż pierwszy:

- Nie mogę tu zostać?

Pudło! Jeszcze gorzej! Ich oczy zwilgotniały; odwrócili twarze do okna. Ojciec Pons uniósł brwi.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Joseph?

- Mówię, że chcę tutaj zostać.

Policzek spadł na mnie zupełnie niespodziewanie. Ojciec Pons, z ciepłą jeszcze ręką, przyglądał mi się ze smutkiem. Spojrzałem na niego wystraszony: nigdy mnie nie uderzył.

- Przepraszam, ojcie - wybąkałem.

Potrząsnął surowo głową, dając mi do zrozumienia, że nie takiej reakcji oczekiwał; wzrokiem wskazał rodziców. Usłuchałem.

- Przepraszam, tatusiu, przepraszam, mamusiu. Chciałem tylko powiedzieć, że było mi tutaj dobrze, i podziękować.

Rodzice rozpostarli ramiona.

- Masz rację, kochanie. Nigdy nie wyrazimy dostatecznie naszych podziękowań ojcu Ponsowi.

- Nigdy! - powtórzył ojciec.

- Słyszałeś, Miszke, nasz Josephle zupełnie stracił akcent. Teraz nikt nie uwierzy, że jest naszym synem.

- i dobrze. My też powinniśmy skończyć z tym nieszczęsnym jidysz.

Przerwałem im, żeby uściślić, patrząc na ojca Ponsa:

- Chciałem tylko powiedzieć, że ciężko mi będzie się z ojcem rozstać...

- Po przyjeździe do Brukseli, mimo że z przyjemnością poznawałem przestronny dom wynajęty przez mojego ojca, który rzucił się w interesy z energią odwetowca, mimo że napawałem się pieśzcotami, słodyczą i melodyjnym głosem matki, czułem się sam, jakbym dryfował w łodzi pozbawionej wiosła. Bruksela, ogromna, bezkresna, otwarta na cały świat, nie miała ogrodzenia, które zapewniłoby mi poczucie bezpieczeństwa.

Jadłem do syta, nosiłem ubrania i obuwie robione na miarę, gromadziłem zabawki i książki w moim wspaniałym pokoju, ale brakowało mi godzin, w czasie których rozprawialiśmy z ojcem Ponsem nad wielkimi tajemnicami. Moi nowi koledzy szkolni wydawali mi się nijacy, nauczyciele rutynowi, lekcje błahe, dom nudny. Nie odnajduje się rodziców, tylko ich całując. Przez trzy lata stali się dla mnie obcy, dlatego zapewne że i oni się zmienili, i ja się zmieniłem. Oni zostawili dziecko, a odzyskali podrostrka. Żądza sukcesu materialnego tkwiąca w moim ojcu tak go przeobraziła, że trudno mi było rozpoznać płaczliwego krawca z Schaerbeek w obecnym potentacie importu- eksportu.

- Zobaczysz, synu, zbiję majątek, a ty później tylko przejmiesz mój interes - obwieszczał mi z błyskiem podniecenia w oku.

Czy chciałem stać się taki jak on?

Kiedy zaproponował, że przygotowuje moją barmicwę, moją komunię, zapisując mnie do chederu, tradycyjnej żydowskiej szkoły, bez zastanowienia odmówiłem.

- Nie chcesz mieć barmicwy?

- Nie.

- Nie chcesz nauczyć się czytać Tory, pisać i modlić po hebrajsku?

- Nie.

- Dlaczego?

- Chcę zostać katolikiem!

Odpowiedź nie dała na siebie czekać: gwałtowny, suchy, lodowaty policzek. Drugi w ciągu kilku tygodni. Po ojcu Ponsie mój ojciec. Wolność, w moim wypadku, oznaczała wolność obrywania po buzi.

Zawołał matkę i wziął ją na świadka. Powtórzyłem raz jeszcze, że pragnę przyjąć religię katolicką. Ona płakała, on krzyczał. Wieczorem uciekłem z domu.

Na rowerze, myśląc się kilka razy, przebyłem raz jeszcze drogę prowadzącą do Chemlay i koło jedenastej dotarłem do Żółtej Willi.

Nie dzwoniłem nawet do furtki. Obszedłszy mur, pchnąłem zardzewiałe drzwiczki prowadzące na polanę i poszedłem do opuszczonej kaplicy.

Drzwi były otwarte. Właz też.

Tak jak przewidywałem, ojciec Pons był w krypcie.

Widząc mnie, rozpostarł ramiona. Przypadłem do niego i zwierzyłem się z mojej rozterki.

- Zasługujesz na to, żeby znów dostać po buzi - powiedział, przytulając mnie lekko do siebie.

- Co was wszystkich napadło?

Kazał mi usiąść i zapalił kilka świec.

- Joseph, jesteś jednym z ostatnich ocalałych przedstawicieli wybranego narodu, który został zmasakrowany. Zabito sześć milionów Żydów... sześć milionów! Wobec tych trupów, nie wolno ci się chować.

- Co ja mam z nimi wspólnego, ojcze?

- To, że zostałeś przez nich wydany na świat.

To, że razem z nimi groziła ci śmierć.

- I co z tego? Mam chyba prawo myśleć inaczej?

- Oczywiście. Jednak musisz zaświadczać, że istnieli, teraz, kiedy już ich nie ma.

- Dlaczego ja, a nie ojciec?

- Ja tak samo jak ty, każdy na swój sposób.

- Nie chcę mieć barmicwy. Chcę wierzyć w Jezusa Chrystusa, tak jak ojciec.

- Posłuchaj, Joseph, będziesz miał barmicwę, bo kochasz swoją matkę i szanujesz ojca. Co do religii, zdecydujesz później.

- Ale...

- Dzisiaj najważniejsze jest to, żebyś zaakceptował fakt, że jesteś Żydem. To nie ma nic wspólnego z wiarą. Później, jeśli nadal będziesz tego chciał, będziesz mógł zostać nawróconym Żydem.

- Więc jednak zawsze Żyd, na zawsze Żyd?

- Tak. Zawsze Żyd. Zgódź się na barmicwę, Joseph. Inaczej złamiesz serce rodzicom.

Czułem, że ma rację.

- Właściwie to lubiłem być Żydem razem z ojcem.

Wybuchnął śmiechem.

- Ja też, Joseph, lubiłem być Żydem razem z tobą.

Śmialiśmy się przez dobrą chwilę. Potem ujął mnie za ramiona.

- Twój ojciec cię kocha, Joseph. Może kocha cię źle albo w sposób, który ci się nie podoba, jednak kocha cię, jak nigdy nie będzie kochał nikogo innego i jak nikt inny nigdy nie będzie cię kochał.

- Nawet ojciec?

- Joseph, ja kocham cię jak każde inne dziecko, no, może trochę bardziej. Ale to nie ta sama miłość.

Ulga, jaką odczułem, uświadomiła mi, że przyszedłem, aby usłyszeć te właśnie słowa.

- Uwolnij się ode mnie, Joseph. Ja spełniłem już swoje zadanie. Teraz możemy być przyjaciółmi.

Szerokim gestem wskazał mi kryptę.

- Niczego nie zauważyłeś?

Pomimo panującego mroku stwierdziłem, że zniknęły świeczniki, Tora i zdjęcie Jerozolimy...

Podszedłem do stłoczonych na półkach książek.

- Co?... To już nie jest hebrajski...

- To już nie jest synagoga.

- Co się dzieje?

- Zakładam nową kolekcję.

Pogładził kilka książek drukowanych dziwnymi literami, których nie znałem.

- Stalin w końcu zabije rosyjską duszę: zbieram dzieła dysydenckich poetów.

Ojciec nas zdradzał! Pewnie wyczytał wyrzut w moich oczach.



- Nie, nie zdradzam cię, Joseph. Dla Żydów jesteś tutaj ty. Teraz to ty jesteś Noem.

- Kończę pisać tę opowieść na zacienionym tarasie, naprzeciw morza drzew oliwnych. Zamiast udać się z kolegami na sjęstę, nie uciekłem od gorąca, gdyż słońce wlewa w moje serce radość.

Pięćdziesiąt lat minęło od tych wydarzeń.

W końcu miałem barmicwę, przejąłem interes ojca i nie nawróciłem się na katolicyzm. Z zapalem nauczyłem się religii ojców i przekazałem ją swoim dzieciom. Jednak Bóg nie stawiał się na spotkanie...

Nigdy, w całym moim życiu pobożnego, a potem obojętnego Żyda nie odnalazłem Boga, którego obecność czułem w dzieciństwie, w tym małym wiejskim kościółku, między czarodziejskimi witrażami, dzierzącymi girlandy aniołami i mruzeniem organów, tego dobrotliwego Boga, który unosił się nad bukietami lilii, płomykami świec, wśród woni pastowanego drewna, patrząc na ukrywane dzieci i wtajemniczonych mieszkańców wioski.

Nie przestałem widywać ojca Ponsa. Najpierw przyjechałem do Chemlay w 1948, kiedy magistrat nadał jednej z ulic imię Mademoiselle Marcelle, która została wywieziona i nigdy nie wróciła. Byliśmy tam wszyscy, dzieci, które przygarnęła, nakarmiła, zaopatrzyła w fałszywe papiery. Przed odsłonięciem poświęconej jej tablicy burmistrz wygłosił mowę o aptekarce, wspominając też jej ojca oficera, bohatera poprzedniej wojny. Wśród kwiatów królowały ich fotografie. Patrzyłem na portrety Psiakrew i pułkownika: tacy sami, dokładnie tacy sami, tak samo przerażająco brzydcy, z tym, że wojskowy nosił wąsy. Trzech dyplomowanych rabinów sławiło pamięć i brawurę tej, która oddała za nas życie; ojciec zabrał ich później, żeby pokazać im swoją poprzednią kolekcję.

Z okazji mojego ślubu z Barbarą, ojciec Pons miał możliwość udać się do prawdziwej synagogi; prześledził z upodobaniem przebieg rytuału.

Potem często odwiedzał nas w domu na święta Jom Kippur, Rosz Haszany czy na urodziny moich dzieci. Mimo to wolałem jeździć do Chemlay i schodzić z nim do krypty pod kaplicą, w której niezmiennie panował ujmujący bałagan. W ciągu trzydziestu lat często mi oznajmiał:

- Zakładam kolekcję.

Oczywiście nic nie jest porównywalne z Szoah i żadne zło nie da się przyrównać do innego zła, ale ilekroć jakiś naród na ziemi był zagrożony szaleństwem innych ludzi, ojciec Pons postanawiał ocalić przedmioty świadczące o zagrożonej tożsamości. Dość powiedzieć, że w swojej arce Noego zgromadził znaczną liczbę eksponatów: była kolekcja amerykańskich Indian, kolekcja wietnamska, kolekcja tybetańskich mnichów.

Czytając gazety, zwykle mogłem się domyślić, że przy następnej wizycie ojciec Pons oznajmi mi:

- Zakładam kolekcję.

Z Rudim pozostaliśmy przyjaciółmi. Przyczyniliśmy się do budowy państwa Izrael. Ja dałem pieniądze, on się tam osiedlił. Tysiące razy ojciec Pons oświadczał, że cieszy się, widząc odrodzenie hebrajskiego, tej świętej mowy.

W Jerozolimie Instytut Yad Vashem postanowił przyznawać tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” tym, którzy w czasach nazizmu i terroru uosabiali najlepsze cechy ludzkości, ratując Żydów z narażeniem własnego życia. Ojciec Pons otrzymał miano Sprawiedliwego w grudniu 1983 roku.

Nigdy się o tym nie dowiedział, umarł wcześniej. Zapewne jego skromność niezbyt dobrze zniosłaby uroczystość, którą z Rudim planowaliśmy zorganizować; zapewne stwierdziłby, że nie ma za co dziękować, że tylko spełnił obowiązek, jaki dyktowało mu serce. W rzeczywistości to nam, jego dzieciom, takie święto sprawiłoby najwięcej przyjemności.

Dziś rano poszliśmy z Rudim pospacerować po ścieżkach lasu, który w Izraelu nosi jego imię.

„Las ojca Ponsa” liczy dwieście siedemdziesiąt jeden drzewek symbolizujących dwieście siedemdziesięcioro jeden dzieci, które uratował.

Przy starszych pniach rosną teraz młode krzaki.

- Spójrz, Rudi, wyrosnie więcej drzew, to już nie będzie nic znacząco...

- To normalne, Joseph. Ile masz dzieci? Czwooro. A wnucząt? Pięcioro. Ratując cię, ojciec Pons uratował dziewięć osób. W moim wypadku dwanaście. W następnym pokoleniu będzie ich jeszcze więcej. A potem więcej i więcej. Za kilka wieków okaże się, że ocalił miliony ludzkich istot.

- Jak Noe.

- Pamiętasz Biblię, niedowiarku? Zdziwiasz mnie...

Tak samo jak kiedyś jesteśmy z Rudim diametralnie różni. I tak jak kiedyś ogromnie się lubimy. Możemy kłócić się zażarcie, a potem całować na dobranoc. Za każdym razem, kiedy odwiedzam go na jego farmie w Palestynie albo gdy on przyjeżdża do mnie do Belgii, sprzeczamy się na temat Izraela. Ja wprawdzie popieram ten młody kraj, ale nie pochwalam wszystkich jego działań, w przeciwieństwie do Rudiego, który usprawiedliwia każde posunięcie reżymu, nawet to najbardziej wojownicze.

- Ależ Rudi, być po stronie Izraela nie oznacza, że popiera się wszystko, co postanowi Izrael.

Trzeba, zawrzeć pokój z Palestyńczykami. Oni mają takie samo prawo jak ty do tego, żeby tutaj żyć. To jest także ich terytorium. Mieszkali tam, zanim jeszcze powstało państwo Izrael. Już sama historia naszych prześladowań powinna sprawić, żebyśmy przemówili do nich słowami, na które sami czekaliśmy przez wieki.

- Tak, ale nasze bezpieczeństwo...

- Pokój, Rudi, pokój, tego właśnie uczył nas ojciec Pons.

- Nie bądź naiwny, Joseph. Często najlepszym sposobem osiągnięcia pokoju jest wojna.

- Nie zgadzam się z tobą. Im więcej nienawiści narośnie pomiędzy obydwoma obozami, tym trudniej będzie potem zawrzeć pokój.

Przed chwilą, zbliżając się do plantacji drzew oliwnych, przejechaliśmy koło palestyńskiego domu zmiażdżonego przez gąsienice czołgu.

Różne przedmioty leżały porzucane w pyłe, który wznosił się ku niebu. Dwie bandy dzieciaków biły się zażarcie wśród ruin.

Poprosiłem, żeby zatrzymał jeepa..

- Co tu się dzieje?

- Represje z naszej strony - odpowiedział. Wczoraj jakiś Palestyńczyk dokonał samobójczego ataku. Trzy ofiary. Trzeba było zareagować.

Bez słowa wysiadłem z samochodu i poszedłem po gruzie.

Dwie walczące grupy żydowskich i palestyńskich chłopców rzucały w siebie kamieniami. Ponieważ nie trafiali, jeden chwycił belkę, ruszył na najbliższego przeciwnika i zdzielił go. Odpowiedź nie dała na siebie długo czekać. W kilka sekund chłopaki z obu band okładali się deskami ile sił.

Skoczyłem ku nim, z wrzaskiem.

Czy się przestraszyli? Czy skorzystali z okazji, żeby przerwać walkę? Rozbiegli się w dwie przeciwne strony.

Rudi podszedł do mnie powoli, zdeglustowany.

Schylając się, zobaczyłem zgubione przez dzieciaki przedmioty. Podniosłem kipe i palestyńską chustę. Schowałem jedną do prawej kieszeni, drugą do lewej.

- Co robisz? - zapytał Rudi.

- Zakładam kolekcję.

Przekładu dokonałam częściowo w czasie pobytu w Międzynarodowym Ośrodku Pisarzy i Tłumaczy na Rodos we wrześniu 2004 roku.

